

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 11 stycznia 1908. Nr. 2.

Ujęcie króla włamywaczy. (Treść na str. 19).

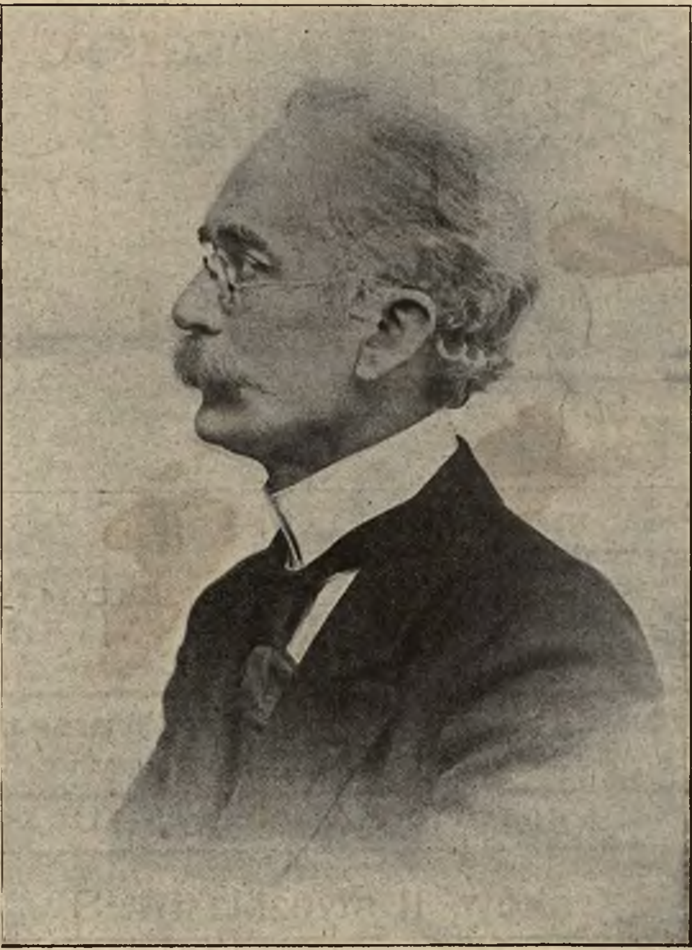


Ustąpienie dyrektora szpitala.

Z początkiem bieżącego roku ustąpił ze stanowiska dyrektora krajowego szpitala św. Łazarza w Krakowie, po czternastoletniej, chlubnej i owocnej pracy, prof. dr. Stanisław Ponikło, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej wiedzy lekarskiej. Uzyskawszy w r. 1877 stopień doktora medycyny na uniwersytecie krakowskim, pracował naprzód jako asystent zakładu anatomii patologicznej i kliniki lekarskiej, poczem pełnił obowiązki lekarza powiatowego, równocześnie zaś ogłaszał drukiem wyniki swych badań i studyów, w uznaniu czego otrzymał *veniam legendi* na wydziale medycznym wszechnicy.

W r. 1893 mianowany został dyrektorem szpitala św. Łazarza i na stanowisku tem rozwinął niezmiernie żywą działalność, wspartą wszechstronną wiedzą i doświadczeniem. To też w niedługim stosunkowo okresie swych rządów zdołał stosunki w szpitalu uzdrowić i mimo trudnych warunków finansowych dokonać całego szeregu inwestycyi. Stanął więc nowy pawilon dla chorób zakaźnych, ustanowiono osobny oddział chorób krtani, przeprowadzono asanacyę wielkiego ogrodu szpitalnego przez zniwelowanie, osuszenie i zdrenowanie gruntów oraz połączenie z kanałem miejskim, wzniesiono dom dezynfekcyjny z aparatem dezynfekcyjnym, jednym z największych i najlepszych w państwie, przeprowadzono regulacyę płac lekarzy pomocniczych i wynagrodzeń służby szpitalnej, dalej wykonano prace wstępne dla budowy zakładu położniczego krajowego. A prócz tego pomyślnie rozwiązano bardzo wiele drobniejszych spraw. Zasługi więc ustępującego dyrektora a przytem jego prawy i czysty charakter musiały mu zjednać powszechny szacunek.

Nie uchylał się też i nie uchyla dyr. Ponikło nigdy od pracy na szerszem polu publicznem, zasiadał bowiem i w Radzie miasta Krakowa i w wydziałach kilku towarzystw. Niezapomnianą zwłaszcza będzie jego niezmordowana działalność na stanowisku prezesa Tow. Tatrzańskiego, w szczególności zaś wybitna rola, jaką odegrał w pamiętnym sporze z Węgrami o „Morskie Oko“. Żmudna praca około zebrania potrzebnego materyału dowodowego, kołatanie o zwołanie sądu polubownego, wędrówki po rozmaitych ministeryach, wszystko uwieńczone tak pomyślnym



Ustąpienie dyrektora szpitala: Dyrektor dr. Stanisław Ponikło.

wynikiem—to niezaprzeczona zasługa dyr. Ponikły. Nagrodą dlań za tę pełną poświęcenia pracę był dyplom członka honorowego w Tow. Tatrzańskiem, podziękowanie Rady miejskiej krakowskiej oraz wdzięczność i uznanie całego społeczeństwa.

I teraz, usuwając się z kierownictwa szpitala, nie zamierza dyr. Ponikło spocząć po trudach, lecz będzie dalej pracował dla dobra wiedzy lekarskiej, dla dobra kraju i społeczeństwa.

Dowodem, jak ogólnym szacunkiem cieszył się w sferach współpracowników ustępujący dyr. Ponikło, było pożegnanie go przed paru dniami przez komitet administracyjny szpitala, dalej przez grono lekarzy, imieniem których przemówił profesor dr. Pareński, przez siostry miłosierdzia, urzędników i służbę. Miłą pamiątkę dla dyr. Ponikły stanowić będzie zdjęcie fotograficzne, przedstawiające grupę lekarzy szpitalnych z ustępującym dyrektorem pośrodku; reprodukcyę tego zdjęcia zamieszczamy w dzisiejszym numerze wraz z portretem dr. Ponikły.

Kara za protest.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, gdy trzecia Duma kończyła swe obrady przed feryami świątecznemi, stu pięćdziesięciu ośmiu członków pierwszej Dumy znalazło się na ławie oskarżonych pod zarzutem podburzania ludności do oporu biernego przeciw istniejącemu rządowi.

Jak wiadomo, po rozwiązaniu pierwszej Dumy znaczna ilość posłów, należąca do grup kadetów, trudowików i socyalnych demokratów, wyjechała do Wyborga w Finlandyi, gdzie wydała odezwę, zatytułowaną „do narodu“, a zachęcającą „do nie dawania ani kopiejki skarbowi, ani jednego żołnierza armii“. Wezwanie to nie znalazło posłuchu i pozostało niewykonanem, a mimo to wszyscy oskarżeni zostali z wyjątkiem dwóch skazani na trzy miesiące więzienia.

Sam proces odbywał się wśród niezwykłych okoliczności tak ze względu na zachowanie się sądu jak i postawę oskarżonych. Na rozprawę stawili się wszyscy oskarżeni z wyjątkiem dwóch zmarłych, dwóch zabitych i kilku chorych. Przy odczytywaniu nazwisk nieżyjących posłów Jołłosa i Hercensteina, wszyscy podsądni wraz z obrońcami powstali ze swych miejsc. Także podczas zeznań prezydenta pier-



Fot. Kuczyński i Gärtler, Kraków.

Ustąpienie dyrektora szpitala: Grupa lekarzy szpitala im. św. Łazarza w Krakowie z ustępującym dyrektorem prof. Ponikłą w pośrodku.

wszej Dumy prof. Muromcewa, wszyscy oskarżeni stali i dopiero gdy Muromcew na wezwanie prezesa sądu usiadł, zajęli swe miejsca.

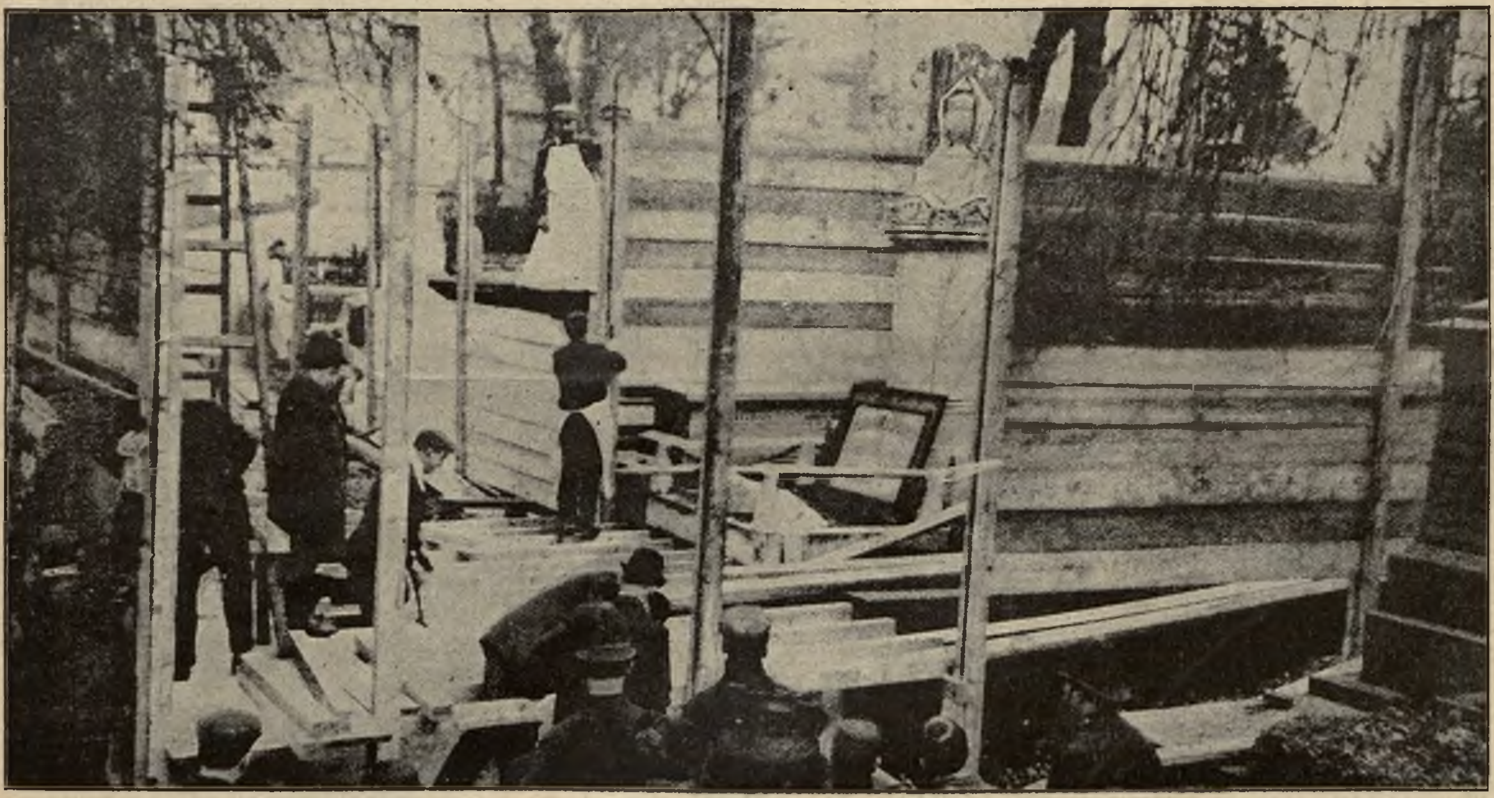
W czasie przesłuchania podsądni zgodnie oświadczyli, że manifest wyborski podpisali zupełnie świadomi swego czynu, że jednak nie występowali przeciw państwowości rosyjskiej, a tylko przeciw ówczesnemu rządowi.

Gdy po skończeniu postępowania dowodowego oskarżeni wyszli z sali sądowej, powitało ich w westybulu przeszło ośmdziesięciu posłów trzeciej Dumy, w imieniu których Rodiczew odczytał Muromcewowi podniosły adres. Zebrana tłumnie publiczność gorącymi oklaskami uczciła posłów.

Skazani na trzymiesięczne więzienie nie przyjęli wyroku, lecz zgłosili apelacyę.

Proces o zwłoki.

Sensacyjny proces o milionowy spadek po księciu Portlandu doczekał się obecnie częściowego przynajmniej rozwiązania. Rozprawy sądowe trwają w dalszym ciągu i wyrok nie prędko jeszcze zapadnie, kulminacyjny jednak punkt procesu, ekshumacya zwłok Druce'a, już się odbył.



Proces o zwłoki: Budowanie szopy nad grobem.

Przed kilku dniami na londyńskim cmentarzu Highgate zebrało się wczesnym rankiem kilkanaście osób ze sfer urzędowych, które miały uczestniczyć w tej „uroczystości". Dwustu policyantów strzegło cmentarza, nie dozwalając nikomu zbliżyć się do grobowca. Samego aktu ekshumacyi dopełniono z nadzwyczajną ostrożnością, aby nie uronić najmniejszego szczegółu, dotyczącego identyczności nieboszczyka. Przez dłuższy czas najstarszy syn zmarłego Herbert Druce, człowiek bardzo religijny, sprzeciwiał się otworzeniu grobu, utrzymując, iż sam kładł zwłoki ojca do trumny i dopiero po otrzymaniu dyspensy z konsystorza zgodził się na przeprowadzenie tego dowodu prawdy. Grobowiec cały otoczono specyalnie urządzoną szopą, oświetloną wielkiemi lampami łukowemi. Wnętrze wysłano nieprzemakalnemi makatami, na których ustawiono rodzaj katafalku. Po usunięciu nagromadzonej ziemi i podważeniu za pomocą dźwigni płyty kamiennej, spuścili się grabarze do środka grobowca, gdzie znaleźli kilka murowanych przedziałów. Trzeba było rozbijać je, by dobrać się do właściwej trumny; gdy wreszcie przebito otwór, zaraz odfotografowano przy świetle magnezyowem całą niszę, poczem dopiero na linach wyciągnięto trumnę z napisem „Tomasz Druce" i ustawiono ją na wzniesieniu. Trumna ta przedstawiała się jako wielka skrzynia, szersza w głowach, obita ciemnem suknem i spojona sześcioma klamrami. We wnętrzu znajdowała się druga trumna ołowiana; gdy zdjęto jej wieko, ujrzano dość dobrze jeszcze zachowane zwłoki starego człowieka o dużym zaroście.

Wobec takiego wyniku ekshumacyi, winnyby upaść wszelkie pretensye Druce'ów do dziedzictwa po ks. Portlandzie; akcye towarzystwa, założonego dla popierania żądań pretendentów, za które płacono w przededniu ekshumacyi sto franków, spadły też do zera, mimo to wszystko przedstawiciel strony pozywającej, Jerzy Hollamby Druce, nie ustaje w swych zabiegach. Utrzymuje on, iż samo stwierdzenie zwłok nie ma istotnego znaczenia dla procesu, którego głównym punktem będzie stwierdzenie, czy lord Portland ożenił się z jego prababką, Miss Crickmor. Proces więc, jak można z tego wnioskować, potrwa jeszcze długo i będzie dalej zajmował u-



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.

Kara za protest: Grupa oskarżonych posłów.

mysły szerokich sfer Anglii. Jaki będzie wynik sporów o olbrzymi majątek, sporów, w których tak doniosłą rolę odegrały zwłoki zmarłego oryginała, dziś trudno przewidzieć. Wprawdzie wiele osób, które przed ekshumacyą gotowe były złożyć swe kapitały na cele prowadzenia procesu, następnie się wycofało, nie znaczy to jednak bynajmniej, by sprawa musiała być przegraną. Tą nadzieją też pomyślnego wyniku żyje Jerzy Druce i pretensye swe w całej pełni podtrzymuje.



Proces o zwłoki: Policya, strzegąca grobowca Druce'a

W numerze dzisiejszym zamieszczamy szereg zdjęć, odnoszących się do tej głośnej dziś w całym świecie sprawy.

Skon pruskiego pedagoga.

(Do illustracyi na stronie 13).

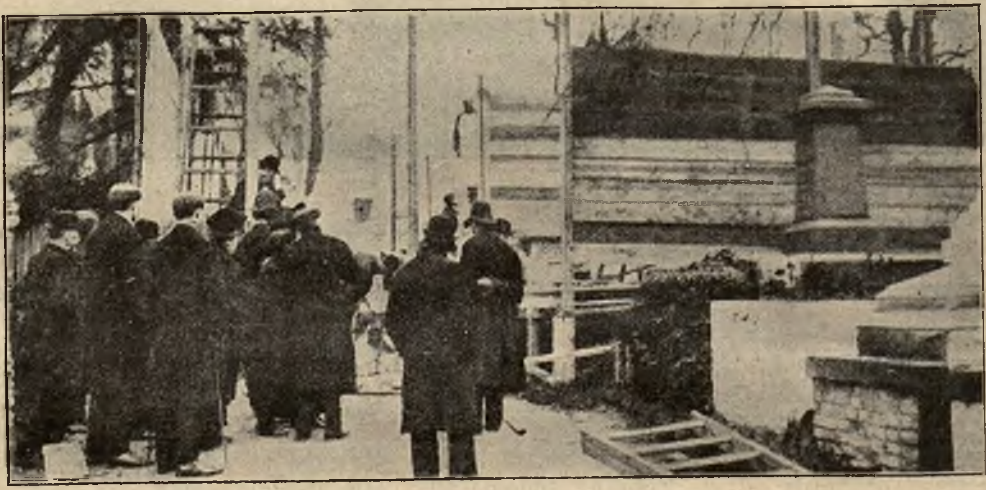
W małem miasteczku niemieckiem Bielefeld zmarł przed kilku dniami prof. dr. Jerzy Ernest Hinzpeter, były wychowawca cesarza Wilhelma II. Urodzony w r. 1827, po skończeniu szkół średnich w swem rodzinnem mieście, wyjechał do Hall, a potem do Berlina, gdzie studyował filologię i filozofię. Po otrzymaniu stopnia doktora mianowany został profesorem gimnazyum swego rodzinnego miasta. Na tem nie zbyt wybitnem stanowisku dał się jednak poznać sferom rządzącym i zaskarbić sobie nietylko ich łaski ale i zaufanie.

W Prusiech ster rządów dzierżył wówczas Bismarck, którego woli poddawał się choć z szemraniem i młody dwór. Gdy w r. 1868 cesarz Wilhelm dosięgnął siódmego roku życia, na wychowawcę jego wyznaczono Hinzpetera, który odpowiadał widocznie postulatom panującej polityki pięści i siły przed prawem.

Pokładanych w sobie nadziei Hinzpeter nie zawiódł i wychował Wilhelma tak, jak tego pragnęli ci, którzy go na wychowawcę powołali. Zasiał w serce i umysł przyszłego monarchy szczególne umiłowanie „prawdy i prawa“, szczególne umiłowanie „sprawiedliwości społecznej“ oraz „etyki“, czego najlepszym dowodem polityka antipolska cesarza Wilhelma i skandale w jego najbliższem otoczeniu.

Cesarz Wilhelm odnosił się zawsze z wdzięcznością i życzliwością do swego wychowawcy. Przed kilku laty został Hinzpeter mianowany rzeczywistym tajnym radcą i usunął się w zacisze życia domowego. Z dzieł jego najpopularniejszą jest książka o cesarzu Wilhelmie, która doczekała się już dziewięciu wydań.

Poza tem nie odegrał zmarły pedagog pruski wybitniejszej roli ani w świecie naukowym, ani politycznym.



Proces o zwłoki: Przybycie komisyi na miejsce ekshumacyi.



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.

Kara za protest: Grupa obrońców oskarżonych posłów.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

6 (Ciąg dalszy).

— To wszystko, co miałem panu do powiedzenia — skłonił lekko głową na znak ukończenia audyencyi.

Inspektor Lerche szedł przez kurytarz do swego biura z dumnie podniesioną głową. Z uśmiechem zadowolenia podkręcił wąs szpakowaty, czuł się podniesionym nietylko względami dyrektora, ale i posiadaną władzą nad urzędnikami, którzy wzięli udział w zgromadzeniu. Już on wywie się o wszystkiem nietylko co zaszło, ale co zamierzają i z wynikiem śledztwa pójdzie do dyrektora.

Ale wpierw musi napisać to sprostowanie do dziennika. Dyrektor żąda, aby było bezstronne i poważne. Dobrze, napisze i takie. Wszedłszy do swego biura zapowiedział, aby mu nie przeszkadzano i zamknął drzwi. Usiadł za biurkiem, rozłożył arkusz białego papieru, przygotował świeże pióro, i zaczął czytać poranny dziennik z opisem zgromadzenia.

Oburzył go ton dziennika i drwiny z urzędników taktownych i czujących swą godność, których nazwano puszczykami i czarno-żółtymi reakcyonistami...

Skończył czytanie, odrzucił dziennik, wstał, zapalił papierosa, i przechadzał się po biurze, układając w myśli sprostowanie.

Spojrzał na zegarek, była godzina jedenasta. Ponieważ zwykle wychodził na śniadanie o dwunastej, postanowił szybko napisać sprostowanie, zanieść do dyrektora i wyjść.

Usiadł, napisał wielkiemi literami: „Sprostowanie!“

Namyślił się jednak, że taki tytuł jest zły, odrzucił arkusz, wziął świeży i napisał: „W imię prawdy!“

Lecz znów „Prawdą“ nazywał się dziennik poranny.

Odrzucił arkusz, zaklął i postanowił samej redakcyi zostawić tytuł.

Pisał, darł, znów zaczynał, przeklinał dyrektora, że wymaga od niego sprostowania i wreszcie po godzinnem zmęczeniu napisał artykuł. Z uśmiechem zadowolenia odczytał, a spojrzawszy na zegarek, wskazujący dwunastą, poszedł szybko do dyrektora, aby mu odczytać i pójść na śniadanie.

Dyrektor ujrzawszy wchodzącego podniósł na niego oczy i rzekł z uśmiechem:

— Nareszcie...

— Daruje pan radca dworu, ale...

— Proszę, czytaj pan.

Odchrząknął i zaczął czytać:

— Całe miasto, a zwłaszcza sfery miarodajne, zostały zaalarmowane bezczelną napaścią szmaty porannej, która jak na pośmiewisko nosi tytuł „Prawdy“, a jest stekiem kłamstwa i podłości złośliwej, dążącej do zohydzenia stanu urzędniczego i podsunięcia mu nielojalnych uczuć względem rządu i bezpośrednich naczelników.

Inspektor spojrzał, jakie wrażenie robią jego słowa, lecz twarz dyrektora była zimna i obojętna, więc czytał dalej:

— Mała garstka niższych urzędników postanowiła wobec drożyzny miejskiej szukać pomocy we własnej oszczędności, nie domyślając się, że wszechstronna opieka i pieczołowitość rządu za pośrednictwem dyrekcyi kolejowej zamierza utworzyć taką kasę...

— Dosyć panie inspektorze — zawołał surowym, profesorskim głosem dyrektor — to nie jest sprostowanie, którego żądałem... Proszę napisać krótko, węzłowato i poważnie, bez ironii i złośliwości... Czekam.

Inspektor skłonił się, wyszedł zły i gniewny. Zmiął w kieszeni arkusz zapisany i sapiąc poszedł do swego biura. Skrzyczał woźnego, że mu nie dość szybko drzwi otworzył, groźnie spojrzał na podwładnych i zamknąwszy drzwi przechadzał się po biurze mrucząc:

— Pisać mi każe... czy ja pismakiem? gazeciarzem?... dyabli wzięli apetyt, śniadanie... psia służba, gorszej niema na świecie...

Gdy cokolwiek ochłonął z gniewu, począł rozmyślać nad nieszczęsnem sprostowaniem.

Siadł, pisał, darł napisane... nagle przypomniał sobie, że przecież w dyrekcyi jest adjunkt, przeciw któremu prowadził śledztwo, z powodu podejrzywania tego młodego człowieka, gdy był na przestrzeni, że pisuje korespondencye nielojalne do jednego z pism:

A gdyby mu kazać napisać?... Jednak może to nie wypada, dyrektor jemu polecił i w rezultacie on już napisał, a że dyrektor nosem kręci, czy to jego wina?

Lecz jak tu wytłomaczyć adjunktowi przyczynę, że żąda się od niego napisania?

Znów zaczął pisać, ale nie szło, zaklął i nacisnął guzik dzwonka.

Woźnemu kazał poprosić adjunkta z wydziału ruchu.

Wszedł smukły, przystojny szatyn i skłoniwszy się czekał.

— Jestem nadzwyczajnie dziś zajęty — zaczął inspektor — a tu trzeba dać sprostowanie, rodzaj odpowiedzi na artykuł dziennika „Prawda...“ Zapewne pan czytał?

— Czytałem.

— Otóż prosiłbym pana, aby pan napisał bezstronne, poważne sprostowanie. Rozumie pan?

— Rozumiem... ale co właściwie mam sprostować... zgromadzenie odbyło się mniej więcej tak, jak podano.

— Ach, pan tam był? — uśmiechnął się.

— Byłem.

— To dobrze, pogadamy o zgromadzeniu, bo jestem ciekaw przebiegu i żałuję, że nie byłem... Ale przedewszystkiem sprostowanie...

— Dobrze... ale czego?

— Hm... widzi pan, takie wyrażenia, jak: „puszczyk“, dalej „czarno-żółty reakcyonista...“ no, i ten ton socyalistycznej radości, gdy kolejarzom chodziło tylko o własny interes, a nie o ideę socyalistyczną.

— Czy nie było tam socyalizmu? — uśmiechnął się — tego dobrze nie wiem.

— No, no, dajże pan spokój — oburzył się inspektor — tegoby jeszcze brakowało, aby urzędnicy państwowi... nie, to niemożliwe... Otóż napisz pan coś w rodzaju obrony, czy coś takiego... pan wiesz już..

— Ostatecznie ton „Prawdy“ nie był właściwy i jeśli pan inspektor sobie życzy...

— Tak jest, nawet proszę o napisanie i... przeczytam.

— Dobrze.

— Ale pospiesz się pan... czekam.

Gdy adjunkt wyszedł, inspektor zaniepokojony, zapalił papierosa i rozmyślał o sprostowaniu i zgromadzeniu. Taki młodzik, co to niema biura całego na głowie, może napisać... on poprawi, no i pozbędzie się kłopotu. Ale w tem zgromadzeniu tkwi coś złego, nawet się nie oburzył ten adjunkt, gdy wspomniałem o socyalizmie. Coś w tem jest i muszę dojść. Sprawa poważniejsza, aniżeli przypuszczałem, rozmyślał inspektor, a przed oczyma jego stanęło widmo socyalizmu... bezrząd, niema wojska, policyi, żandarmeryi; prawa zdeptane, urzędy rozpędzone, orgia kobiet i mężczyzn, kościoły shańbione... Wzdrygnął się inspektor, a w tem wszedł adjunkt.

— Już? — zdziwił się szczerze.

— Gotowe.

— Dziękuję... proszę mi zostawić, przejrzę czy dobrze.

Adjunkt położył arkusz na biurku i wyszedł.

Po jego wyjściu pochwycił inspektor arkusz, przeczytał, wzruszył lekceważąco ramionami i mruknął:

— Właściwie to nie jest sprostowanie... moje sto razy lepsze... no, zobaczymy, co on powie... za dziesięć pierwsza.

Szybko przepisał, poszedł do dyrektora i czytał:

— Ze strony kolejarzy otrzymujemy wyjaśnienie, że opis onegdajszego zebrania kolejarzy, umieszczony w „Prawdzie“, nie jest ścisłym w szczegółach, a zwłaszcza w ogólnym tonie rozpraw. O socyalizmie, o fachowej organizacyi nikt ze zgromadzonych nie wspomniał, a tem mniej nie było gwizdów, sykań, naśmiewań się, gdy garstka uczestników opuściła salę w późniejszej godzinie, zapewne w celu posilenia się po wrażeniach.

— Zaraz panie inspektorze — przerwał mu dyrektor — wykreśl pan to posilenie się po wrażeniach... niepotrzebne... proszę jeszcze raz odczytać.

Inspektor usłuchał i czytał dalej:

— Zgromadzenie kolejarzy uchwaliło założenie kasy i postanowiło rozciągnąć opiekę moralną i materyalną nad ogółem pracowników kolejarskich, bez ubocznych względów na stronnictwa tak pylityczne, jak i społeczne... Skończyłem panie radco dworu.

— Teraz lepiej — pochwalił dyrektor — jest takt, powaga i bezstronność... dziękuję panu... i zaraz odesłać do redakcyi... Ale, ale, dodaj pan przy końcu: jak przystało na urzędników państwowych szanujących swą godność.

Inspektor będąc na kurytarzu mruknął drwiąco:

— I temu durniowi to się podobało... takie nic, bez ognia, bez siły... no, no i pracuj tutaj.

Inspektor Lerche zajął się pilnie w następnych dniach badaniem historyi zgromadzenia. Otrzymał spis uczestników z wymienieniem kto i w jakim duchu przemawiał. Równocześnie rozpuścił wieść, że dyrekcya dlatego nie zajmuje się pilnie kasą przyszłą i nie będzie jej otaczała swoją opieką, gdyż są wiadomości pewne, iż sam rząd założy podobną kasę i nie poskąpi potrzebnych funduszów.

VII.

Już na drugi dzień dowiedział się inspektor Lerche, że inicyatywa kasy i zgromadzenia wyszła od grupy ludzi, młodych urzędników, a mianowicie od Stańskiego, Berkholca, Schillinga, Kudzyńskiego i Gierlicza, a reszta tak z delegacyi, jak i z wybranej komisyi i komitetu, byli wciągnięci. Nie rozumieli i nie znali celu zgromadzenia, a wystąpienie Stańskiego było niespodzianką dla nich.

W środę przystąpił do przesłuchania, i wpierw postanowił pociągnąć do badania mniej winnych, a dopiero po obciążających Stańskiego szczegółach, których spodziewał się odkryć, wezwać go do siebie. Zasiadł w swym pokoju za biurkiem na fotelu z miną surowego sędziego i kazawszy zawołać Gierlicza przemówił:

— Dyrekcya dowiedziawszy się o antiurzędowej, antipaństwowej agitacyi wśród urzędników, postanowiła zbadać sprawę i stosownie do wyników śledztwa postąpić z winnymi przekroczenia przewidzianego w ustawach. Wezwałem pierwszego pana, gdyż pan ma stanowisko, ma pan żonę, dzieci, dotychczasowa służba pana była, jak widzę z aktów osobistych, nienaganną i przykro pomyśleć, że pan swem zachowaniem popsuł sobie karyerę... Jedynie szczerem wyznaniem prawdy może wyjść pan cało z tej sprawy.

Gierlicz słuchając tej przemowy pobladł, w niczem nie czuł się winnym. Wprawdzie przez ciekawość został do końca posiedzenia, ale głosował przeciw wnioskom Stańskiego. W umyśle jego przemknął się obraz przyszłości... zostaje przeniesiony z miasta, gdzie kształcą się dzieci, gdzieś na przestrzeń, na zapadłą stacyę, wytaczają mu dyscyplinarkę, nastąpi kara, a już o jakimkolwiek awansie ani marzyć. Zadrżał i rzekł głosem pokornym:

— Panie inspektorze, Bóg mi świadkiem, że nie poczuwam się do żadnej winy... Wiem, że jestem urzędnikiem, wiem, że z łaski rządu mam kawałek chleba... gdzieżbym występował przeciw rządowi, przeciw państwu!? Wszystko powiem, niech pan inspektor pyta.

— Skąd panu przyszła myśl o kasie i zgromadzeniu?

— Przyszedł do mnie Stański i Schilling, namawiali, prosili, obiecywali złote góry... wreszcie nakłonili mnie, że poszedłem w deputacyi. Ponieważ wszystko miało iść drogą urzędową, zażądałem od nich, aby pan inspektor Kuliński był prezesem, a pan dyrektor, radca dworu udzielił pozwolenia.

— I nikt więcej nie namawiał pana?

— Czy nikt? — namyślał się — owszem i Berkholc i Kudzyński tłomaczyli mi konieczność założenia kasy i dziękowali za deputacyę.

Zaczęły się szczegółowe pytania, kto, co i jak mówił przed, w czasie i po posiedzeniu i wreszcie wypuścił inspektor z pokoju zmęczonego, spoconego i przerażonego Gierlicza.

Następnie wezwał Schillinga, który miał od swych przełożonych niezbyt pochlebne uwagi, tak co do swej pracowitości, jak i zachowania się. Stanął przed nim blondyn, wysoki, lekko pochylony, z wiecznym uśmiechem na pół szyderczym, na pół wesołym, na swej semickiej twarzy.

Po przedwstępnych badaniach spytał inspektor:

— W jakim celu namawiałeś pan do założenia kasy?

— Ja potrzebuję i moi koledzy taniego kredytu, my nie mamy wysokich pensyi, ale mamy wielkie potrzeby, jak zwykle młodzi — zaśmiał się.

— Należy się oszczędzać, żyć stosownie do dochodów — upomniał inspektor.

— To są słowa — uśmiechnął się — nikt nie żyje stosownie do swych dochodów, nawet taki

Rotszyld nie wydaje tyle, ile może, a pan inspektor tyle, ileby chciał.

— Wypraszam sobie porównania — rzekł surowo inspektor — proszę mi powiedzieć, jakie były zamiary pana, gdy pan żądał komitetu ochrony?

— Panie inspektorze; nasze zgromadzenie nie było żadną czynnością urzędową i nie potrzebuję zdawać sprawy, co sobie myślałem.

— Ale ja pytam — zawołał inspektor — mam prawo, jako przełożony.

— A ja, jako wolny obywatel, mam prawo odmówić wyjaśnień.

— Pytam jako podwładnego urzędnika.

— Panie inspektorze, na co te irytacye? — uśmiechnął się — w służbie ma pan prawo, ale co panu do moich prywatnych interesów? A to była moja prywatna przyjemność, ten komitet nieustający.

— Zatem pan odmawia odpowiedzi? — pytał wzburzony.

— Jakto? — panie inspektorze, a przecież odpowiadam.

— Panie Schilling, strzeż się pan — przemówił groźnie — ta sprawa źle się skończy.

— Co ja temu winien? Czy to mój referat? — uśmiechnął się.

— Pan rezykuje swoją posadę.

— Panie inspektorze, niech się pan nie obawia o moją posadę, ona pewna.

— No, zobaczymy—rzekł z gniewem.

— Dobrze, niech i tak będzie.

— Może pan iść.

— Sługa pana inspektora — skłonił się i wyszedł.

Inspektor wstał z krzesła, czerwony z gniewu i rzekł z pasyą:

— Tego durnia nauczę rozumu i przyzwoitości.

Jakiś czas chodził po pokoju, przystanął przy biurku i z uwagą przerzucał osobiste akta Schillinga. Wszyscy przełożeni skarżyli się na jego impertynencyę i brak służbistości, a jednak Schilling awansował i teraz również zajmuje dobrą posadę.

Inspektor znał za dobrze arkana dyrekcyi, aby na chwilę wątpić, że Schilling cieszy się protekcyą.

— Teraz ci dojadę jednak — uśmiechnął się zadowolony — już ja cię opiszę.

Wziął do ręki sprawozdanie z przebiegu zgromadzenia i znalazł, że Schilling istotnie przemawiał podburzająco i z kpinami wyrażał się o przełożonych i dyrekcyi.

— Dam ci wolnego obywatela — zaśmiał się i zatarł ręce.

Ma protekcyę, to widoczne, rozmyślał, ale żeby miał nie wiem jaką, dam mu radę.

Spojrzał na zegarek, była godzina jedenasta i osądził, że do śniadania przesłucha jeszcze jednego z obwinionych. Znał dawniej Berkholca, wiedział, że jest synem restauratora ze stacyi, że niema, podobnie jak Schilling, żadnych studyów, tego można zastraszyć. Uśmiechnął się, i posłał woźnego po Berkholca, któremu Schilling zdołał już po przesłuchaniu szepnąć, o co idzie sprawa. Wszedł pokorny, z niskim ukłonem i szepnął prawie:

— Pan inspektor co rozkaże?

— Panie Berkholc, znam pana. Na prośby ojca przyjęto pana na kolej, a pana stanowisko jest wątpliwe. Są tu poważne oskarżenia... pan chciał podać memoryał do ministeryum... miał pan jakieś zmowy... spiski...

Berkholca przeraził głównie memoryał... kto mógł zdradzić? Tylko trzy osoby: Stański, Kudzyński i Trawecka. W tej chwili zapomniał, że sam mówił na zgromadzeniu, że skoro nie pomoże komitet, należy podać memoryał do ministra. Z natury mściwy i bojaźliwy, postanowił uratować siebie, a na wspólnikach się zemścić; wpierw jednak chciał wybadać, o ile inspektor jest wtajemniczony.

— Ja, panie inspektorze, miałem na myśli tylko prośbę, a nie żaden memoryał... a czy prośby nie wolno pisać?

Inspektor spostrzegł, że słowo memoryał zrobiło wrażenie i postanowił korzystać z tego.

— Panie Berkholc, mam dowody, że pan podałeś projekt memoryału, i nie rób pan kłamcami swych przyjaciół... a pan jako urzędnik rozumie, że co innego memoryał, a co innego prośba... Uprzedzam pana, że dyrekcya wie dużo, a jedynem wyjściem dla pana jest otwarte przyznanie się do winy... Jak było zatem z tym memoryałem?

— Alboż ja wiem?... Powiedziałem to słowo tak sobie, bez żadnej myśli.

— Tak? — uśmiechnął się inspektor — czy i bez myśli skargi na całą dyrekcyę?

Teraz nie wątpił Berkholc, że ktoś zdradził, więc przystępując bliżej do biurka, rzekł zniżonym głosem:

— Jeśli ja powiem całą prawdę, czy będę pociągany do odpowiedzialności?

— O ile pan wyzna prawdę bez żadnego ukrywania i ja się o tem przekonam, ręczę, że dla pana nie będzie to miało złych następstw.

— Czy pan inspektor ręczy słowem honoru?

Inspektorowi zabłysły oczy; a więc tam było coś ważnego, on jest już na tropie jakiejś tajemniczej sprawy. Gdy odkryje, czeka go uznanie a może order? I bez wahania rzekł:

— Daję panu słowo... Słucham.

— To było tak... Stański przyszedł do mnie i powiada, że w ważnej sprawie kolejowej chce ze mną się naradzić i dodał, że będzie i Kudzyński. Pan inspektor wie, że ja żyd i koledzy niechętnie ze mną się wdają, to wezwanie Stańskiego i Kudzyńskiego było mi przyjemne, no i ja zgodziłem się. Czy pan inspektor na mojem miejscu, za co bardzo przepraszam, postąpiłby inaczej?

— Co zrobiłbym, to inna rzecz... cóż było dalej?

— Tak nas trzech poszło do mieszkania manipulantki Traweckiej...

Inspektor nastawił uszu. A więc rola niema Traweckiej w deputacyi miała głębsze przyczyny! Dodał więc zachęcająco:

— O Traweckiej wiemy, była w delegacyi... zatem zeszliście się u niej...

— Tak jest... tylko że nie w jej pokoju, ale lokatora Wapieńskiego...

— Któż on taki?

— Jakto, czy pan inspektor nie słyszał o nim? Floryan Wapieński, organizator robotników, czy teraz wie pan inspektor?

Wprawdzie nazwisko to słyszał inspektor pierwszy raz, ale udał, że wie i dodał:

— Tak, tak... przypominam sobie, proszę dalej...

— Stański i Kudzyński zaczęli narzekać na wyzysk i przeciążenie, jeden podał projekt odezwy do kolejarzy, aby się gromadnie oparli, to był Stański, a Kudzyński chciał rozwinąć agitacyę — umilkł na chwilę.

— A cóż Trawecka? — spytał inspektor.

— Ona?... była przeciwna agitacyi, bo już próbowała i nie udało się...

— A pan podał projekt memoryału — rzekł inspektor.

— To tylko tak sobie, *in der Hitze des Gefechtes* — uśmiechnął się blado — mówią inni, to i ja, czy nie tak?

— A kto podał projekt kasy? zgromadzenia?

— Na to przyszedł ten Wapieński, socyalista, on dał projekt kasy jako pozór na zgromadzenie i radził wystąpić ze skargami. Ja i Kudzyński odmówiliśmy, a Stański zdecydował się na mowę...

— A Trawecka?

— Ona była zachwycona i projektem Wapieńskiego i przemową Stańskiego. Czy taka kobieta zastanawia się kiedy?

— Na czemże stanęło?

— Miała być kasa i zwołanie zgromadzenia, a Stański miał mówić.

— To już wiemy — rzekł obojętnie inspektor — któż więcej należał do tego spisku?

— Ja nic nie wiem... to już Stański robił... ja nic.

— I pan nie agitował — uśmiechnął się drwiąco inspektor. A my wiemy, że pan był bardzo czynny. Przyrzekł pan mówić prawdę, więc cóż?

— To już powiem... chodziliśmy razem i do urzędników ruchu i Stański namówił Jarkowskiego do deputacyi...

— A kto sprowadził Osteckiego z towarowej do deputacyi?

— Słyszałem, że Stański z Kudzyńskim chodzili.

— A kto Trawecką?

— Ona sama chciała... nu, panie inspektorze, ja już wszystko powiedziałem, ale ja mam słowo pana inspektora. Czy nie tak?

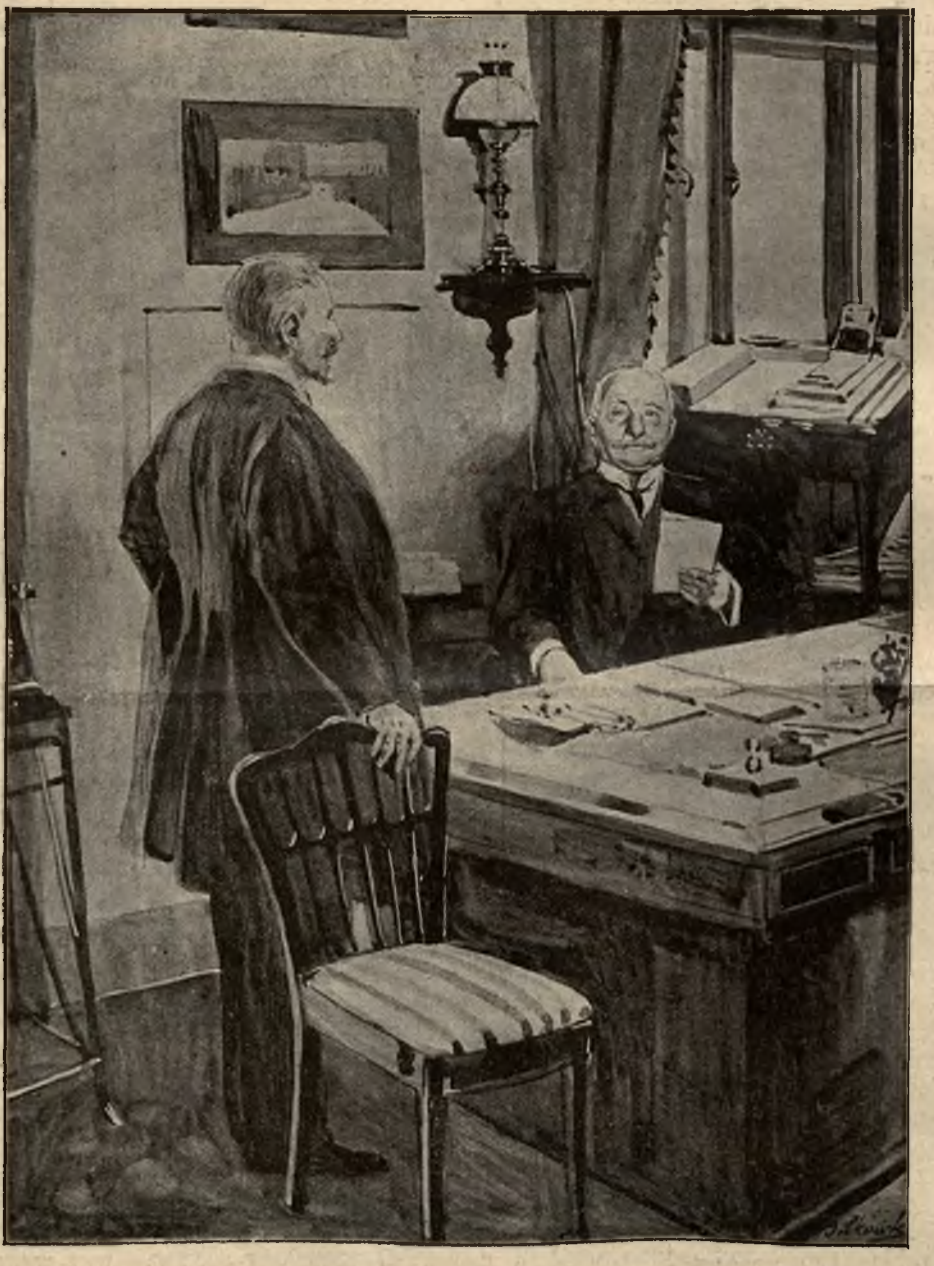
— Jeszcze mi pan powie, co oni zamierzali zrobić przez wybór komitetu nieustającego?

I Berkholc, raz ugrzązłszy w oskarżaniu wspólników, powiedział wszystko, nietylko o czem wiedział i słyszał, ale i to, czego się sam domyślał.

Po odejściu Berkholca, inspektor Lerche zadowolony ze zwierzeń tegoż, uśmiechnął się dumnie. Więc to był zamach socyalistyczny na kolej państwową, a więc na państwo i rząd. I to on odkrył! Inspektor Lerche! Tak jest, on posiada ogromne zdolności na sędziego śledczego. Bez gróźb, krzyków, bez więzienia odkrył rozgałęziony spisek. I to było u Traweckiej... Przypomniał sobie jej śliczną twarz, niewinne oczy, dziewczęcą figurę i westchnął głęboko, gdyż ta ładna dziewczyna ma kochanka. Tak, to jasne, że ma, tylko który z dwóch? Czy Stański, czy też ten socyalista? Zajrzał do swych notatek i odczytał: Floryan Wapieński. A może ci dwaj razem, wszak na świecie wszystko możliwe. I ktoby się był spodziewał, ażeby ta dziewczyna, uosobienie cnoty i niewinności, miała aż dwóch, a w każdym razie jednego. Tak, kochankiem jest Stański, gdy go wprowadziła tak śmiało do mieszkania Wapieńskiego... albo też ten socyalista jest kochankiem i pozwolił pokoju swego na spisek.

Wszystko on wykryje... Więc takie bezeceństwa dzieją się w dyrekcyi!? Manipulantka ma kochanka, a udaje cnotliwą i przychodzi, siada, pracuje, jak gdyby była najgodniejszą szacunku. Tego przecież dyrekcya nie może ścierpieć...

(Ciąg dalszy nastąpi).



To nie jest rostowanie, którego żądam!

Oczyszczanie miasta ze śniegu.

Troska o utrzymanie czystości w mieście nawet podczas zimy, gdy topniejące masy spadłego śniegu zamieniają się w grząskie błoto, zmusza zarządy miast do oczyszczania ulic zaraz po skończeniu opadu.

Początkowo dokonywano tego w najprostszy sposób, a mianowicie nagromadzony śnieg zbierano na wozy i wywożono za mury miasta, lub też nad brzegi rzeki. Uprzątanie to jednak okazało się niedostatecznem, wskutek też tego zaprowadzono najrozmaitsze sposoby zamiatania śniegu.



Oczyszczanie miasta ze śniegu: Dawny sposób wywożenia śniegu.



Oczyszczanie miasta ze śniegu: Nowe zmiotlarki śniegowe.

Ostatnimi czasy magistrat warszawski czyni próby z dwoma wynalazkami w tym kierunku. Na ulicach kopią w pewnej odległości od siebie studnie, do których wrzucają śnieg; stamtąd ma on spłynąć przez podziemne kanały do Wisły. Innego wynalazku dokonał pewien technik, który sporządził specyalny wóz do topienia śniegu. W Berlinie, gdzie na porządek w mieście zwracają wielką uwagę, wprowadzono wozy z miotłami, zaprzężone w dwie pary koni.

Ryciny nasze przedstawiają właśnie dotychczasowy sposób wywożenia śniegu i nowe miotlarki.

Straszna eksplozya.

Przed kilkunastu dniami wywołał pewien rybak przez nieostrożność olbrzymią katastrofę w Palermo, skutkiem czego runęło kilka domów, pochłaniając życie przeszło siedmdziesięciu osób.

Rybak ten, celem uproszczenia sobie połowu ryb, rzucał do morza w znacznej odległości od brzegu bomby dynamitowe, które następnie zapalał za pomocą prądu elektrycznego. Wybuch bomb zabijał odrazu całe masy ryb, które przedsiębiorca bez trudu najmniejszego zbierał do swej łodzi. Przemysł ten wiódł się dobrze już od dłuższego czasu, przynosząc rybakowi wielkie korzyści.

Pewnego razu, gdy przyrządzał bombę na następny połów, wypadł rybakowi jeden z pocisków na ziemię. Nastąpił wybuch ze strasznemi następstwami. Na przestrzeni przeszło 1000 metrów wszystkie domy pięcio i sześciopiętrowe, zamieszkałe przez ubogą ludność, rozpadły się w gruzy. Na nieszczęście znajdował się w pobliżu wielki skład broni z ogromnym zapasem prochu, który wybuchł, szerząc dalej zniszczenie i powodując nowe wybuchy gazu w najrozmaitszych warsztatach, w których z powodu zmroku wieczornego światła już płonęły. W nadmiarze nieszczęścia powstał jeszcze pożar, który ogarnął szereg domów.

Na drugi dzień rano przedstawił się oczom ludzkim straszny widok, gdy z pod rozwalonych murów poczęto dobywać coraz to nowe zwłoki, tak iż naliczono ich przeszło siedmdziesiąt, nie biorąc w rachubę ciężej lub mniej rannych. Między zburzonymi domami było i wiele drugorzędnych hoteli, w których znaleźli śmierć niespodziewaną liczni przejezdni. Do liczby ich należał i pewien Polak z Galicyi, siwowłosy staruszek, wraz z bardzo piękną młodą wnuczką. Wypadek ten wywołał w całych Włoszech przygnębiające wrażenie. Rozpoczęto zaraz zbierać składki na poszkodowanych; rząd wysłał natychmiast zasiłek w kwocie dwudziestu tysięcy lirów. W sprawie tej sądy nie miały już nic do czynienia, winowajca bowiem znalazł śmierć na miejscu.



Fot. A. Croce, Medyolan.

Straszna eksplozya: Akcya ratunkowa na gruzach zrujnowanych przez eksplozyę domów w Palermo.

Powstanie Zuluzów.

Po uspokojeniu republiki Transwalskiej i zaprowadzeniu w niej ładu, Anglia musi znowu wysyłać swe wojska do kolonii afrykańskich, a to w celu utrzymania spokoju między Zulusami. Od chwili przyłączenia kraju Zulusów do posiadłości brytańskich, wrzenie między tymi czarnymi obywatelami angielskimi nie ustaje.

Po śmierci słynnego ich wodza Cetewajo, na czele ruchu stanął syn jego Dinizulu. Przed kilkunastu laty Anglicy więzili go na wyspie św. Heleny, zdołał on ją jednak uciec i obecnie wystąpił na szerszą widownię. Ruch powstańczy między Zulusami rozpoczął się na większą skalę już w roku zeszłym, z początku jednak Anglia nie zwracała na to uwagi i dopiero dziś, gdy rozruchy przybrały groźniejsze rozmiary, wysłano w owe strony pułkownika Mackenzie, oddając pod jego dowództwo przeszło dziesięć tysięcy ludzi.

Wystąpienie to Zulusów, wywołane surowością Anglików w obchodzeniu się z krajowcami, a zwłaszcza bezwzględnością w ściąganiu podatków, nie byłoby jeszcze samo przez się bardzo groźne dla Anglii, gdyby nie zwiastowało zarazem bliskiego powstania całej czarnej rasy w południowej Afryce.

Dinizulu wziął się bowiem energicznie do dzieła, porozsyłał gońców do sąsiednich szczepów, zagrzewając je do powstania, jednocześnie zaś gromadzi dokoła siebie liczne szeregi czarnych wojowników. W tych zaś warunkach nie jest wykluczonem, iż rozlew krwi w Afryce trwać będzie długi czas.

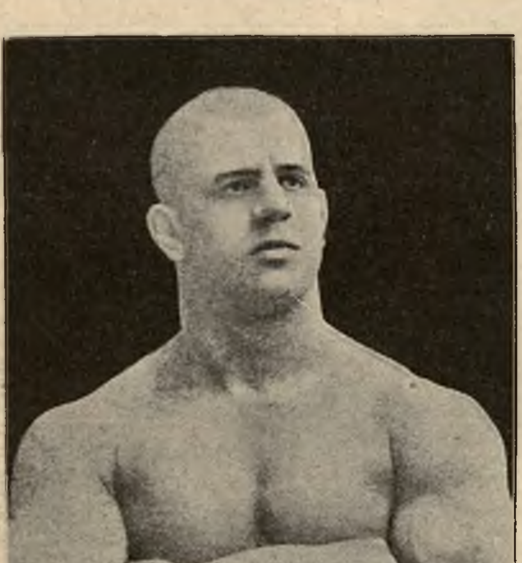
„Gwiazdka“ dla wiejskiej dziatwy.

Od szeregu lat urządzają właściciele wsi Kimirza we wschodniej Galicyi, pp. Wybranowscy, piękny obchód „Gwiazdki“ dla tamtejszej dziatwy wiejskiej, obdarzając ją przy tej sposobności pożytecznymi podarkami i łakociami. Tradycyjna ta uroczystość odbyła się i w czasie ostatnich świąt, jakkolwiek pp. Wybranowscy Kimirz opuścili i przenieśli się do nowej posiadłości.

Dziatwa z Kimirza zebrała się w sali szkolnej, gdzie pięknie przystrojona i rzęsiście oświetlona choinka uroczy przedstawiała widok. Do zebranych przemówił w ciepłych słowach p. Wybranowski, wpajając w zebraną młodzież miłość Ojczyzny i miłość bliźniego, oraz podnosząc potrzebę oświaty. Za ofiarność tę i ciepłe słowa podziękował pp. Wybranowskim jeden ze starszych gospodarzy, a potem uczenica szkoły w Kimirzu, która zapewniła o wdzięczności dziatwy i o tem, że ziarno, zasiane przez zacnych dziedziców nie pójdzie na marne, gdyż młodzież kroczyć będzie chętnie drogą, wytkniętą jej przez opiekunów i nauczycieli. Odśpiewaniem kilku melodyjnych kolęd polskich zakończyła się piękna uroczystość, z której zdjęcie fotograficzne, przedstawiające pp. Wybranowskich w otoczeniu dziatwy i jej rodziców, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Powstanie Zulusów: Dinizulu w otoczeniu swej świty na wyspie św. Heleny.



Zapasy w Paryżu: Zwycięsca w zapasach atletów, Giovann Raicevich.

Tragiczna śmierć uczonego lekarza.

Słynny dermatolog, prof. Oskar Lassar z Berlina, znalazł przed paru dniami tragiczną śmierć skutkiem wypadku, jakiemu uległ w czasie jazdy automobilem. Jadąc niedawno jedną z ulic Berlina, spowodował zderzenie z innym automobilem, w następstwie czego wypadł z wozu i potłukł się tak ciężko, iż pomoc lekarska okazała się bezskuteczną.

Śmierć prof. Lassara jest poważną stratą dla nauki lekarskiej, zwłaszcza w zakresie dermatologii. Uczony ten bowiem, po ukończeniu studyów medycznych na kilku uniwersytetach, poświęcił się tej od niedawna rozwijającej się gałęzi wiedzy lekarskiej i szeregiem prac pierwszorzędnej wartości przyczynił się poważnie do jej podniesienia.

Szczególniejszą sławę zdobył sobie prof. Lassar jako organizator, a klinika jego była wzorem praktycznego urządzenia. Stosował w niej wszystko, co tylko technika współczesna wynalazła. Stąd też stała się ona punktem, który gromadził tysiące adeptów wiedzy lekarskiej, nietylko niemieckich, ale i zagranicznych. Prof. Lassar był wzorowym i znakomitym pedagogiem, to też wykształcił poważny zastęp dzielnych specyalistów.

Wielką zasługą zmarłego uczonego była jego praca agitacyjna w celu spopularyzowania zasad hygieny wśród najszerszych warstw ludności. Również jako lekarz praktyczny zdobył on sobie wielkie uznanie i wielu ludzi zawdzięcza mu odzyskanie zdrowia. Z tego też powodu niespodziewana, a tak tragiczna śmierć jego, wywołała szczery żal w gronie licznych pacyentów i przyjaciół w Niemczech, a także zagranicą, gdzie dr. Lassar dał się poznać jako znakomity uczony przy sposobności udziału w kongresach międzynarodowych.

Zapasy w Paryżu.

Równocześnie z wielkimi zapasami atletów, toczącymi się w Londynie, gdzie laury zbiera nasz Zbyszko-Cyganiewicz, odbywały się zapasy i w Paryżu; tam również światowi siłacze walczyli między sobą o nagrody. W zapasach paryskich wysunął się na czoło zapaśników młody Tryesteńczyk, Giovanni Raicevich, imponujący nietylko niezwykłą siłą muskułów, ale i sprawnością w walce, spokojem oraz zwinnością. Dzięki tym przymiotom odniósł on świetne zwycięstwo nad brutalnym Turkiem Mustafą, który do niedawna uchodził za niezwyciężonego. Publiczność paryska okazywała głośno sympatye swe młodemu Tryesteńczykowi, którego spokój i wytworność zaimponowały tłumom.

Z pomiędzy wybitnych polskich atletów, brał w zapasach paryskich udział i mistrz Pytlasiński i jak zwykle zdobył ogólne uznanie dla swej pięknej szkoły walki.

Obok zapasów atletycznych, toczył się w Paryżu w tym samym czasie turniej szermierzy. Zwycięstwo odnieśli w nim trzej Włosi: Pessina, Gandini i Colombetti, prawdziwi mistrze sztuki szermierczej. A zauważyć trzeba, że jako przeciwników mieli oni najwybitniejszych szermierzy świata, z którymi walka wcale nie była łatwą. Nadzwyczajna biegłość we władaniu bronią białą, zgrabność i elegancya, przedewszystkiem zaś przedziwna znajomość arkanów słynnej szkoły włoskiej, przyniosły im zwycięstwo i piękną nagrodę: wazon Adryana Guyona.

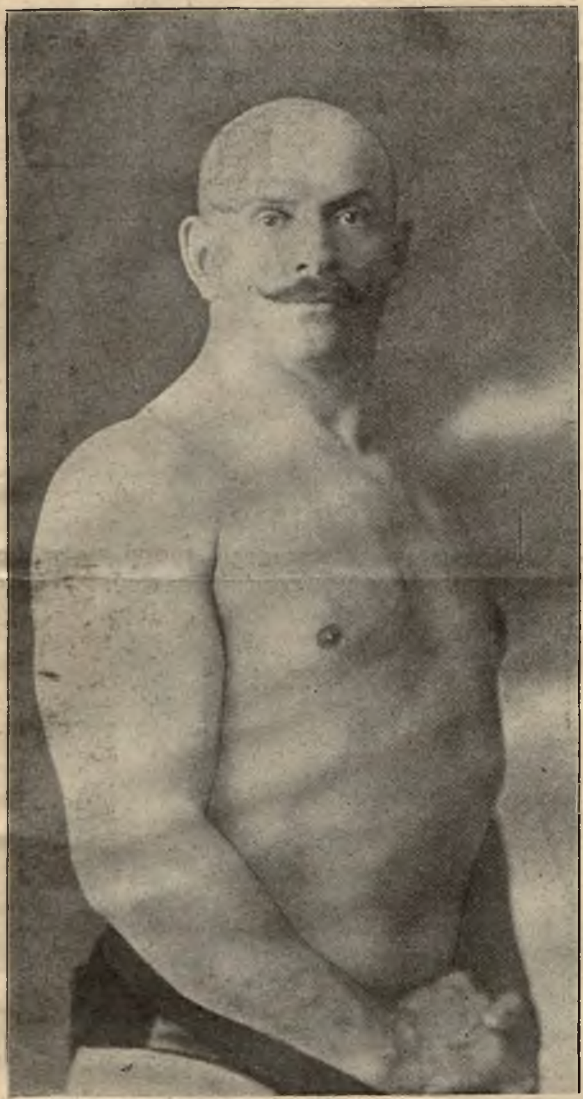
Zarówno zapasy atletów, jak turniej szermierzy, gromadziły w widowni tysiące publiczności, która z zapartym oddechem śledziła bieg walki i nagradzała bardziej interesujące jej momenty hucznymi oklaskami.



Tragiczna śmierć uczonego lekarza: Prof. Oskar Lassar.



»Gwiazdka« dla wiejskiej dziatwy: PP. Wybranowscy w otoczeniu gospodarzy i dziatwy z Kimirza w czasie uroczystości »Bożego drzewka« w sali szkoły miejscowej.



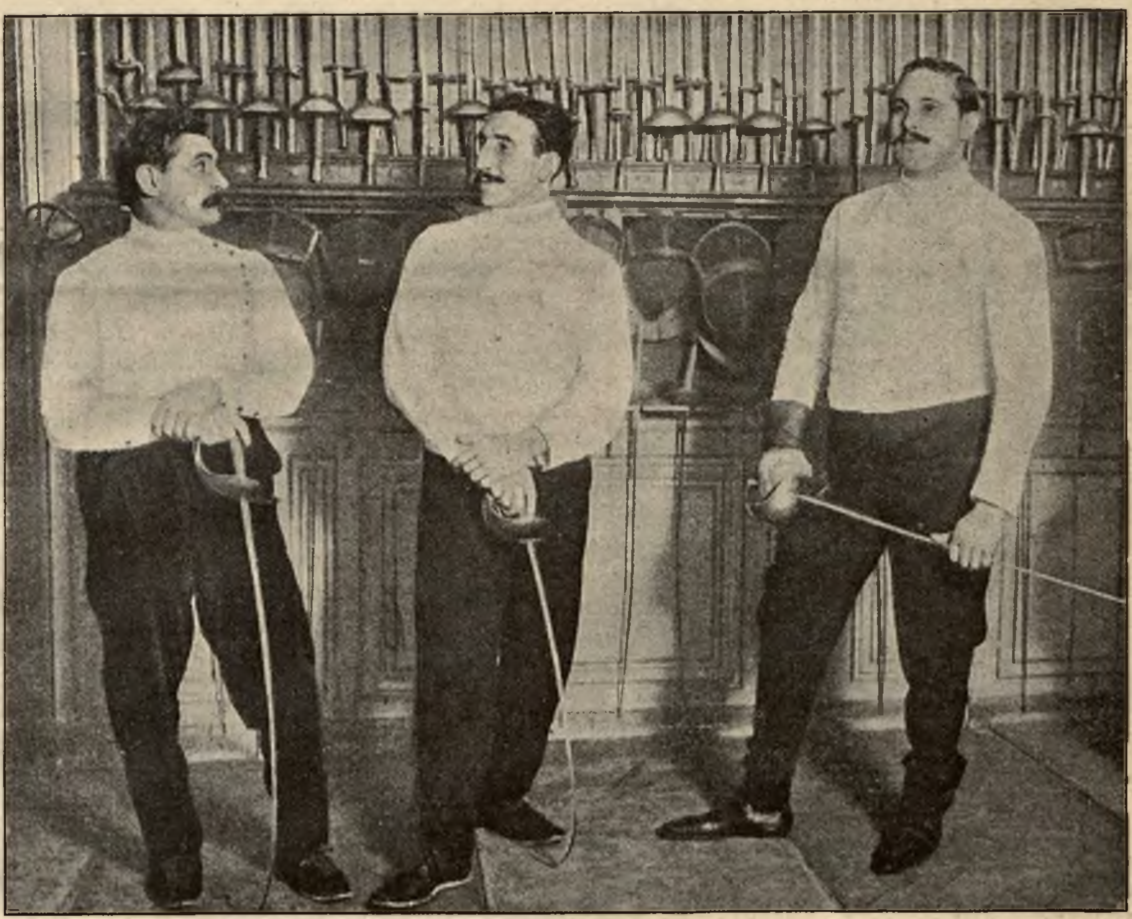
Zapasy w Paryżu: »Mistrz« Władysław Pytlasiński.

wą. Nawet rzeczoznawca dr. Hirschfeld cofnął swe orzeczenie, niekorzystne dla hr. Moltkego, również pani Elbe-Moltke, rozwiedziona małżonka oskarżyciela, wyrażała się przychylniej o swym małżonku.

Sam Harden nie mógł się także bronić z tym temperamentem, jaki mu towarzyszył w pierwszym procesie, stan zdrowia jego bowiem pogorszył się znacznie. Wobec zaś nieprzychylnych dlań zeznań świadków, widział się zmuszonym zająć stanowisko

rem wydawniczem Scherla, okazały się dość zadowalającemi, słabą ich stroną było jedynie to, że skombinowany aparat prof. Korna działał tylko przy zdjęciach portretowych.

Brakowi temu zaradził obecnie francuski inżynier z Lyonu Edward Belin, który zbudował aparat foto-telegraficzny, doprowadzając go do bardzo znacznej doskonałości. Z wynalazkiem swym, który nazwał tele-stereografem, czynił niedawno Belin doświadczenia w francuskiem towarzystwie fo-



Zapasy w Paryżu: Zwycięscy w turnieju szermierskim, Włosi: Pessina, Gandini i Colombetti.

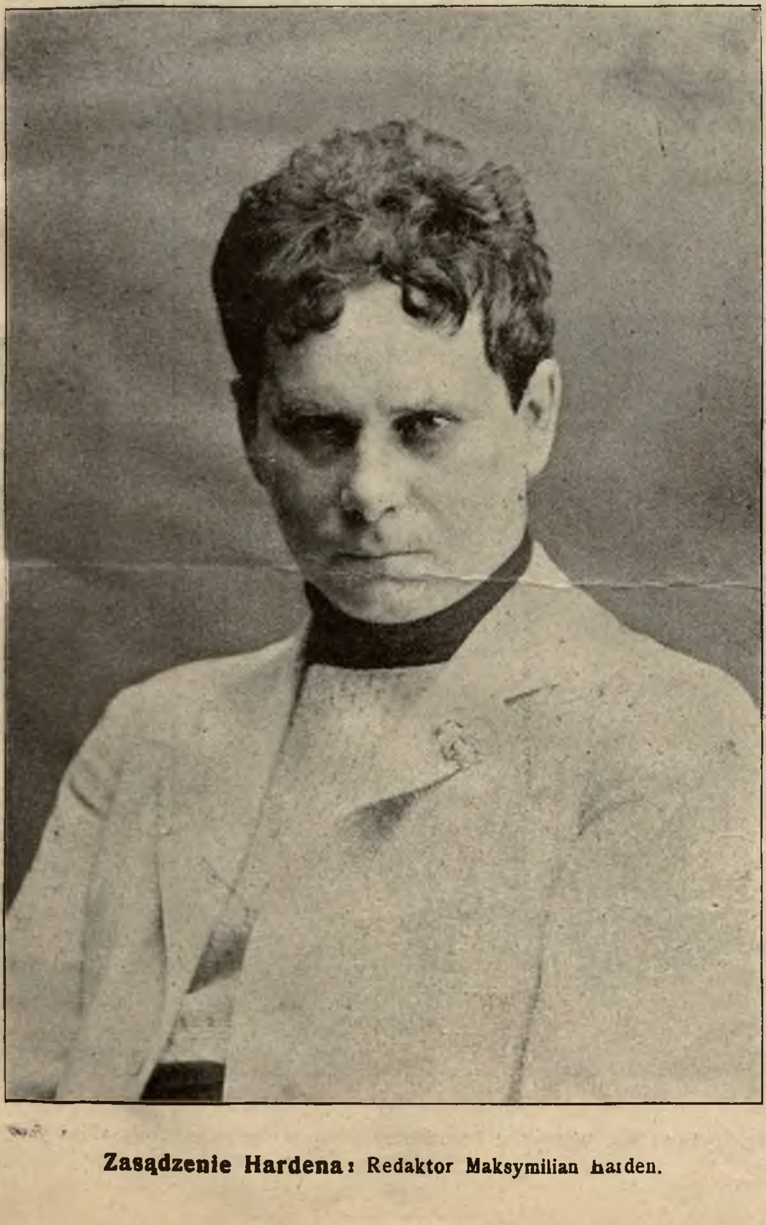
Zasądzenie Hardena.

Drugi proces przeciw redaktorowi Hardenowi, wytoczony mu przez prokuratoryę pruską z powodu „obrazy" hr. Moltkego, zakończył się — jak przewidywaliśmy — zasądzeniem oskarżonego. Sytuacya bowiem w tym drugim procesie zmieniła się znacznie, a zmieniła się na niekorzyść Hardena. Świadków, najbardziej obciążających „obrażonego" Moltkego, nie wezwano do rozprawy, inni zaś zeznawali tym razem z bardzo wielką rezer-

tylko obronne i nie wytaczać dalszych oskarżeń przeciw kamaryli na dworze Wilhelma II.

Oświadczył też zaraz na wstępie rozprawy, że w artykułach swych nie chciał ubliżyć czci hrabiego Moltkego, a szło mu tylko o kwestyę zasadniczą. Nie wiele mu to jednak pomogło i na wniosek prokuratora zasądził go trybunał na 4 miesiące więzienia oraz na ponoszenie kosztów obu procesów.

Hr. Kuno-Moltke wyszedł więc z procesu jako zwycięzca, wyszedł oczyszczony z ciężkich zarzutów. Ale czy niewinność jego, gdyby się ją przyjęło za udowodnioną, oznacza, że cała sprawa poruszona przez Hardena, jest wymysłem? Bynajmniej. Zarówno ten proces jak poprzedni, wykazały niezbicie, że osoby, należące do wysokich sfer w Prusiech i zajmujące wybitne stanowiska w służbie cywilnej i wojskowej, oddawały się zwyrodniałym popędom i wywierały zgubny wpływ na tok spraw publicznych. I wyjaśnienie tych stosunków w najbliższem otoczeniu cesarza niemieckiego jest zasługą Hardena, mimo zasądzającego go wyroku.



Zasądzenie Hardena: Redaktor Maksymilian harden.

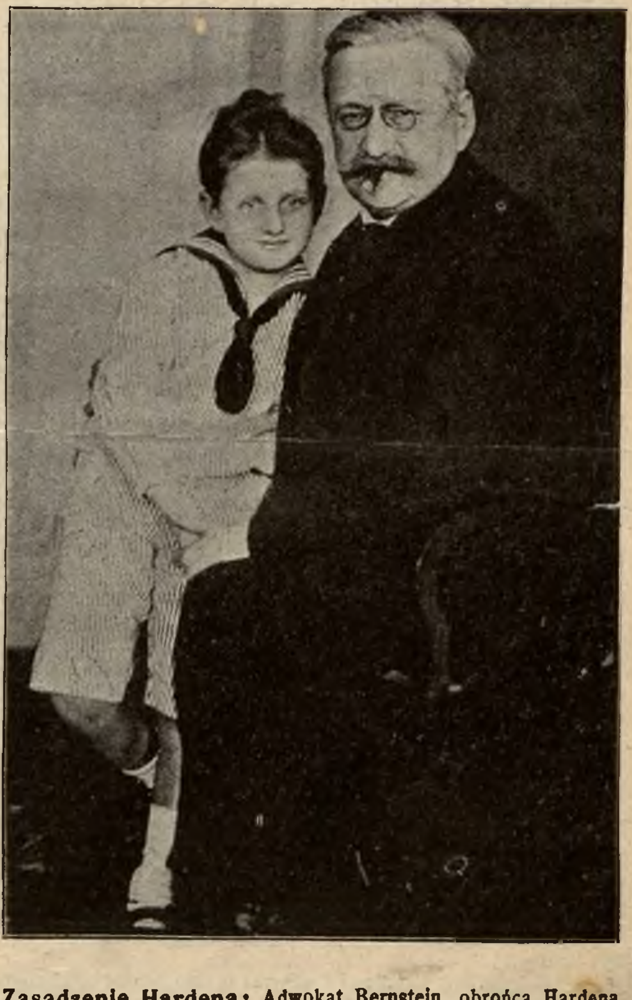
Doniosły wynalazek.

Niezwykłe wrażenie w całym świecie wywołał przed kilku miesiącami wynalazek prof. Korna z Berlina, któremu udało się przesłać zdjęcie fotograficzne za pomocą drutu telefonicznego z Berlina do Paryża.

Pierwsze próby, między redakcyą Illustracyi francuskiej a berlińskiem biu-

tograficznem w obecności wielu wybitnych fizyków. Na przestrzeni tysiąca siedmiuset siedmnastu kilometrów przesłał w przeciągu 22 minut i 3 sekund najdokładniejsze kopie fotograficzne nietylko portretów, ale i widoków. Może otrzymywać i przesyłać tak pozytywy jak i negatywy, a również i znaczne powiększenia danej fotografii.

W ten sposób posunął młody uczony sprawę fotografowania na odległość znacznie naprzód i wiedzy ludzkiej oddał poważną usługę.



Zasądzenie Hardena: Adwokat Bernstein, obrońca Hardena.

Kapłan-kompozytor.

Po kilku latach pracy, spędzonych w ciszy murów klasztornych w Rzymie, wystąpił ks. Wawrzyniec Perosi, jeden z najsławniejszych kompozytorów współczesnych, z nowymi utworami i wywołał nimi potężne wrażenie. Odegrano je podczas inauguracyi nowej sali muzycznej imienia papieża Piusa w Rzymie, powstałej dzięki inicyatywie bar. Kanzlera, architekta Sasselliego i monsignora Misciatellego. Na koncercie tym wystąpił ks. Perosi po raz pierwszy także z utworami niekościelnymi, a mianowicie dwiema suitami „Rzym“ i „Wenecya“.



Doniosły wynalazek: Edward Belin, wynalazca telefotografii.

Dotychczas bowiem tworzył ten wielki kompozytor przeważnie w zakresie muzyki religijnej. Urodzony 1873 r., kształcił się w muzyce w konserwatoryum medyolańskiem i ratysbońskiem, poczem został kapelmistrzem kościoła św. Marka w Wenecyi. W tym czasie studyował też gorliwie teologię, a uzyskawszy święcenia kapłańskie, powołany został na stanowisko dyrektora chórów kaplicy Sykstyńskiej.

Jako kompozytor zasłynął swymi utworami religijnymi, jak: „Męka Pańska“, „Przemienienie Pańskie“, „Zmartwychwstanie Chrystusa“ i wielu innymi, odznaczającymi się nietylko nadzwyczajną melodyjnością, nastrojem i powagą, ale i techniką bardzo wydoskonaloną. Zdobył też niemi sławę nietylko we Włoszech, ale i w całym świecie.

Ostatnie utwory jego zyskały również uznanie krytyki i przysporzyły młodemu kompozytorowi nowych laurów sławy. Wiek zaś jego, stale rozwijający się i potęgujący talent, oraz gruntowne wykształcenie, rokują ks. Perosiemu jeszcze świetniejszą przyszłość.

Z okazyi ostatniego występu kompozytorskiego kapłana-muzyka, zamieszczamy w dzisiejszym numerze zdjęcie fotograficzne, przedstawiające go przy pracy w ogrodzie rzymskiej szkoły „Pia“.

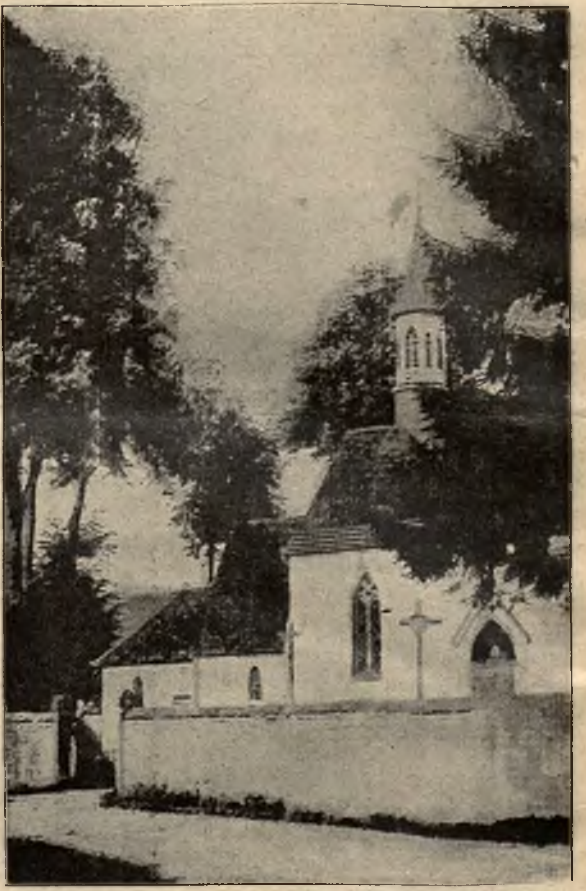
Skon wielkiego astronoma.

W końcu ubiegłego roku zmarł w Paryżu w ośmdziesiątym czwartym roku życia Juliusz Janssen, najsławniejszy astronom współczesny, dyrektor obserwatoryum w Mendon, członek paryskiej Akademii nauk i komandor Legii honorowej.

Obdarzony wybitnemi zdolnościami artystycznemi, poświęcił się początkowo malarstwu, które jednak pomimo wielkiego talentu porzucił wkrótce, oddając się naukom ścisłym. Po kilku latach studyów na wydziale matematyczno-fizycznym i zdobyciu stopnia doktora, począł ogłaszać prace, dotyczące przeważnie analizy spektralnej. Spostrzeżeń swych, które sprostowały niejedno błędne zapatrywanie w dziedzinie nauk astronomicznych i przyniosły zarazem nowe ważne odkrycia, dokonywał przeważnie w założonem przez siebie przed trzydziestu laty obserwatoryum na Montmartre, które potem przeniósł do Mendon pod Paryżem.

Nieustająca praca, gorące umiłowanie nauki, stanowiły zasadniczą cechę jego charakteru. Dla obserwacyi zjawisk ciał astralnych wyruszał w najodleglejsze podróże, do Egiptu, Indyi, Japonii, na wyspy Karolińskie. Gdy podczas wojny francusko-niemieckiej Paryż oblężony był przez wojska nieprzyjacielskie, Janssen w balonie opuścił stolicę, by udać się do Algieru dla obserwowania zaćmienia słońca. W ostatnich latach życia, będąc już siwym, przygarbionym starcem, wnosić się kazał na szczyt Mont Blanc, gdzie przy pomocy Rafaela Bischoffsheima zbudował obserwatoryum. On także pierwszy zwrócił uwagę na wieżę Eifla, jako na najodpowiedniejszy punkt do zużytkowania dla komunikacyi telegraficznej na wielką odległość.

Jako astronom i fizyk zajmował się Janssen bardzo wiele powierzchnią słońca, przyczem porobił doskonałe zdjęcia fotograficzne, posuwając tem samem naprzód sprawę poznania tej planety. Z powodu tych bogatych wyników swoich badań naukowych, zdobył sobie uczony ten wielką sławę w całym świecie. To też skon jego oznacza dotkliwą stratę dla nauki. A stratę tę nie łatwo będzie powetować, bo rzadko pojawia się tak wielki talent, jak Janssen, który umysłem swym jaśniał na horyzoncie nauki, jako jedna z najświetniejszych gwiazd.



Doniosły wynalazek: Krajobraz, przesłany za pomocą telefotograficznego aparatu Belina.



Doniosły wynalazek: Aparat telefotograficzny.



Kapłan-kompozytor: Ks. Warzyniec Perosi przy pracy w ogrodzie szkoły »Pia« w Rzymie.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

5 (Ciąg dalszy).

— Skoro jaśnie pan każe, to niech tak będzie, jak jaśnie pan mówi — odezwał się głosem łzawym, stłumionym.

Tyle było żalu ciężkiego i w słowach i w postaci starca, że Wolfgang nie mógł powstrzymać się od rozrzewnienia i uczuł dla starego sympatyę jaknajwiększą. Nawet Dossenau, tak szorstki i twardy, przystąpił do starca i rzekł z braterską tkliwością:

— I poco ci to stary przyjacielu tak się dręczyć? Tyle lat o tem myślisz, szukasz, śledzisz, a zawsze przekonywasz się, że to wszystko na próżno. Czy nie szkoda resztek twojego życia? poco zatruwać się tą uporczywą myślą, że odkryjesz zbrodniarza, który przez lat trzydzieści odkryć się nikomu nie dał.

— A przecież coś mi tam w duszy mówi głośno, że ja go odkryję, że ja go odkryć muszę. Cześć imienia, to rzecz święta.

Dossenau spuścił oczy, posmutniał, a nawet drgnął niespokojnie. Opanował się, znowu zarzucił ręce na ramiona leśniczego.

— Usłuchaj mnie Barlow! — rzekł poważnie. Wyjedź ty stąd. Tu wciąż staje ci przed oczyma czarna mara nieszczęścia i twoich cierpień. W innej okolicy doznasz nowych wrażeń, zapomnisz; umysł twój odzyska dawną pogodę i możesz spokojnie dokończyć sędziwych lat życia. Nie będziesz jadł chleba daremnie, bo ja ci posadę wyszukam, dobrą, spokojną, a czego tam braknie w dochodach, to ja ci po bratersku dodam. Po bratersku, jak zawsze. Tyle lat służysz wiernie, posiwiałeś w służbie naszej rodziny. Byłeś nam przyjacielem zawsze, wiernym, szczerym, to też mam dla ciebie obowiązki i tych się nigdy nie zaprę. Słuchaj rady mojej; wyjedź stąd, szukaj innych wrażeń, niech cię już raz opuści ta straszna mara wspomnień. No, czy zgoda?

Barlow wyprostował się, podniósł oczy w górę i rzekł uroczyście:

— Jaśnie panie — jesteś moim dobrodziejem. Drugiego takiego chyba niema na świecie, ale choćbyś mnie nazwał niewdzięcznikiem, choćbyś mnie odepchnął od swojego progu, choćbyś mi nawet miał odebrać ten kawałek chleba, który mam na starość z twej łaski, nie mógłbym uczynić tego, o czem mówisz. Gdy moja nieboszczka żona leżała na marach, pochwyciłem jej martwą rękę i taką złożyłem przysięgę:

„Ja niewinnie posądzony przysięgam, że do ostatniego mojego tchnienia nie przestanę szukać zbrodniarza, aby się oczyściła cześć mojego imienia, aby śmierć mojej żony pomszczoną została, aby jedyne dziecko moje dostało w spuściźnie oczyszczone nazwisko ojca swego". Tak przysiągłem i przysięgi dochowam święcie.

Dossenau odwrócił się z niechęcią, czy z pomięszaniem, a stary leśniczy ukłonił się z uszanowaniem i wyszedł, nie powiedziawszy już ani słowa.

Cała ta scena była dla Wolfganga czystą zagadką. Tyle się dorozumiewał, że Barlow niewinnie posądzony, chciał wyszukaniem zbrodniarza, jeszcze dobitniej okazać swoją niewinność.

Słuchał zaprosin Dossenaua z niechęcią, a nawet z odrazą. Po liście Mühldorfera skłaniał się przyjąć ofiarowaną sobie gościnę z apatyi i rozżalenia do Ellinory. Po tej rozmowie było mu już zupełnie inaczej. Obaj ci ludzie zaczęli go przykuwać do siebie; doznawał jakby synowskich uczuć dla Dossenaua, a stary leśniczy budził w nim podziw i cześć prawdziwą. Uroczyście powtórzona przysięga Barlowa — musiała wywrzeć na młodym, szlachetnym człowieku wrażenie głębokie. Zbierała go ciekawość dowiedzieć się jakichś szczegółów z przeszłości starego leśniczego, ale nie chcąc okazać niedyskrecyi, nie przerywał milczenia, które nastało po wyściu leśniczego. Przerwał je dopiero Dossenau.

— Nie wesoło ci się zaczyna, doktorze, pobyt w zamku Alltroppen; bardzo cię przepraszam, żeś na wstępie nasłuchał się dziwactw tego poczciwego człowieka. Biedne człowieczysko, żal mi go bardzo. Od najmłodszych lat zajmuje posadę leśniczego w naszych dobrach rodzinnych; człowiek tak zacny, tak prawy, jakich mało. Przypadek zrządził, że przed trzydziestu laty posądzono go najniewinniej o popełnienie morderstwa i uwięziono; przebył w więzieniu pół roku, poczem go wypuszczono dla braku dowodów. Tem się nie zadowolnił, chciał, aby go zupełnie niewinnym uznano i dlatego zaczął na własną rękę podejmować śledztwa i poszukiwania, aby odkryć prawdziwego mordercę. Stało się to u niego maniactwem, z którego wyleczyć go nie można. Mieszka we wsi Dossenau, gdzie wszyscy znają jego historyę od najstarszego do najmłodszego mieszkańca, co go oczywiście rozdrażniać musi, a w żaden sposób nie da się skłonić do zmiany miejsca pobytu. Musi się pan przygotować na to, że i pana będzie nudził opowiadaniem o swojem nieszczęściu, o czynionych poszukiwaniach, o różnych podejrzeniach.

Opowiadanie przerwał służący oznajmiając. że pokój dla pana doktora już przygotowany. Zdaje się, że ta przerwa była gospodarzowi na rękę, gdyż zaraz urwał rozmowę i podając rękę doktorowi, dodał na pożegnanie:

— Bądź łaskaw panie doktorze zadysponować sobie wszystko, co ci potrzebne. Wybacz, że kolacyę podadzą ci w twoim pokoju, bo coś tam robią w sali jadalnej. No, jutro będzie może pogodniej na niebie, to i twarz twoja się rozchmurzy. Śpij doktorze spokojnie i wierzaj, że nie warto spędzić bezsennie nocy przez jakąś tam wietrznicę.

VII.

Gdy Wolfgang wszedł do swego pokoju, nie bardzo mu się wesoło zrobiło. Ogromna izba zamkowa, ale niska, miała wygląd ponury. Meble w niej staroświeckie, z najrozmaitszych wieków, ustawione bez myśli i bez ładu, sprawiały takie wrażenie, jakby tu był skład antykwarski. Na ścianach poczerniałe malowidła, a między niemi szkielety Hollbeina dodawały ponurości tej izbie. Na kominku płonął ogień, trzaskały sosnowe drewna i z wolna osuszało się i ogrzewało piwniczne powietrze izby, w której od wielu lat nikt pewnie nie przebywał. Za ścianą ryczała burza, trzaskały pioruny, a las huczał przeraźliwem ich echem. Burza na zewnątrz, burza w sercu, burza w duszy, więc Wolfgang kolacyi prawie nie tknął i do spania zabrać się nie mógł. Majaczyło mu się wciąż to, co przeżył w ostatniej dobie. Tu w jednym kącie zwiruje mu się lubieżnie nęcąca go Ellinor, poza nią widzi hr. de Rivalier; to znowu Mühldorfer wyłazi z kąta. Opierał się temu majaczeniu, aby powstrzymać rozbujałą fantazyę i myśleć trzeźwo o przyszłości. Około północy ucichła burza, zgasło ognisko na kominku, zmęczenie ogarniać Wolfganga zaczęło i wreszcie zasnął spokojnie. We śnie zjawił mu się tylko Dossenau i stary leśniczy.

Już było dość późno, kiedy się zbudził. Na dworze ciemne chmury kłębiły się nad wzgórzami, przecinały las kirową powłoką. Doktorowi smutno było. Zaledwie się ubrać zdołał, przyszedł służący z zaproszeniem na śniadanie. Podano je w pokoju Dossenaua, i służący tam zaprowadził doktora. Dossenau rozparł się w fotelu, palił fajkę, a naprzeciw niego siedziała jakaś młoda i bardzo urodziwa kobieta.

— A chodźże doktorze nudziarzu, chodź; ja tu przez ciebie znoszę męki Tantala; śniadanie podano, mnie się jeść chce do stu dyabłów, a ty śpisz.

Wolfgang chciał w grzeczny sposób odpowiedzieć, ale Dossenau nie dopuścił go do słowa i mówił dalej, z właściwą sobie rubasznością:

— Dziwisz się, że mam takiego gościa, prawda? Słyszałeś już o nim wczoraj. Przypatrzno się Helenko mojemu przyjacielowi. Pan doktor Wolfgang Dalmar. Powiesz mi jutro w zaufaniu na ucho, jak ci się spodobał.

Zakłopotał się Wolfgang; nie wiedział, jak nawiązać rozmowę, po rubasznem odezwaniu się Dossenaua. Młoda kobieta zachowała atoli taki spokój, taką obojętność, że Wolfgang mógł nabrać jaknajlepszego przekonania o jej takcie i dobrem wychowaniu. Dossenau był dzisiaj jeszcze gadatliwszym niż zwykle i prawił dalej:

— A, widzisz kochany doktorze, Helena jest córką Barlowa, ale że ja nie mam ani żony, ani dzieci — więc mi ona córkę zastępuje. Przypatrzno się dobrze, jaka ona podobna do księżniczki, albo królowej z portretu. No — ale o tem potem, zabierajmy się do śniadania. Jeżeli ci co nie smakuje doktorze, to powiedz szczerze. Tu u mnie każdy może jeść, co mu się podoba; mój stary kucharz nawet bardzo kontent, jeżeli trafi się gość, przed którym może się popisać. Na mnie on bardzo zagniewany, bo jadam same rzeczy proste. A cóż myślisz robić po śniadaniu?

— Zapewne wyjdę rozpatrzeć się w otoczeniu zamku.

— Dobrze! postaram ci się o przewodnika. Muszę ci jeszcze powiedzieć, kochany doktorze, że Helena jest sekretarzem towarzystwa dobroczynności, które się składa z nas dwojga. Ona jest sekretarzem, a ja prezesem. Niestety członków niema żadnych. Ot i właśnie teraz zdawała mi sprawę z kilkomiesięcznej administracyi funduszem wsparć i zapomóg.

— Pan pozwoli, że pospieszę do domu — rzekła Helena uprzejmie do Dossenaua. Muszę zobaczyć, co ojciec porabia, a potem zajrzeć do biednej wdowy po zmarłym robotniku.

Helena powstała i teraz dopiero mógł się jej Wolfgang dobrze przypatrzyć. Wzrost okazały, postać kształtna, pełna wdzięku, zgrabna, musiały każdego zachwycić. Głos łagodny, dźwięczny, szczery, jak najmilsze wywierał wrażenie. Oko pełne, rozumne, twarz szlachetna. Ubranie świeże, zgrabne, bez żadnych zbytecznych ozdób. I w kroju i w przystrojeniu skromność i prostota, świadczyły o niepospolitej inteligencyi Heleny.

— A więc do widzenia moje dziecko, a skoro idziesz do domu, to weź ze sobą mojego przyjaciela, aby poznał drogę do Dossenaua. Ja nie mogę mu służyć, bo mam w tej chwili bardzo wiele zajęcia. Nie sposób przecież, aby gość siedział zamknięty w pokoju.

Helena zwróciła się ku Wolfgangowi z niemem zapytaniem, on ukłonił się uprzejmie, również nic nie powiedziawszy.

Wyszli. Z początku rozmowa utykała, jak zwykle między ludźmi, którzy się nie znają i nie umieją dobrać właściwej skali do rozmowy. Gdy przy sposobności potrącono o sprawy poważne, naukowe, rozmowa się ożywiła, bo doktor był teraz w swoim żywiole, a Helena okazała nader gruntowne i niepospolite wykształcenie. Wolfgang prawdziwie się zdumiewał; nie mógł pojąć, gdzie i jak mogła się tak wykształcić panienka, żyjąca na wsi, zdala od umysłowego ruchu.

O ile wykształcenie Heleny przejmowało go podziwem, o tyle jej powaga, spokój, poczucie godności, budziły w nim prawdziwą i głęboką cześć dla tej niepospolitej wiejskiej dziewczyny.

Przeszli przez las i skręcili na drogę, do wsi wiodącą. Znać było, że stosunek właściciela zamku z wieśniakami był dobry, przyjacielski, bo uprzejmie witano po drodze Helenę i jej towarzysza, dzieci przybiegały, aby się z Heleną przywitać. Znać też było i tradycyjną opiekę dworu nad gromadą, bo zabudowania wieśniacze czyste, porządne, dostatnie, tu i ówdzie nawet zbytkowne.

Na końcu wsi zatrzymali się przed żelaznymi sztachetami, które otaczały mały, ale piękny ogródek.

— Oto mieszkanie mojego ojca. Może go pan zechce odwiedzić? Byłoby mu to bardzo przyjemnie.

Wolfgang pragnął takiego zaproszenia, więc też bardzo się niem ucieszył. Wprawdzie powiedział sobie, że dlatego chce odwiedzić Barlowa, aby się dowiedzieć szczegółów owego nieszczęścia, o którem wczoraj mówiono, ale zajęcie się Heleną było teraz jeszcze silniejszym bodźcem do odwiedzin starego leśniczego.

Weszli przez furtkę do ogrodu. W pośrodku wznosił się schludny, jednopiętrowy domek. I w ogrodzie i w domu zdumiewająca była czystość, schludność; wszystko tam ustawione z wielkim smakiem i z wdziękiem, aczkolwiek cały dom wypełniała skromność i prostota.

Ucieszył się stary leśniczy, zobaczywszy gościa.

— A to prawdziwy dla mnie zaszczyt. Bardzo się cieszę panie doktorze. Takiego gościa powitać trzeba starodawnym obyczajem, kieliszkiem wina. Z łaski pana Dossenaua, mam dostatni zapas „Rüdesheimera".

Zanim Wolfgang miał czas wymówić się od tego, a podziękować za pochlebne wyrazy, już podała Helena wino i nalała dwa kieliszki, poczem pożegnała doktora uprzejmem, poważnem skinieniem głowy i wyszła.

— Już do biednych! ona tak zawsze. Ciężka moja dola, jak to pan już wczoraj słyszał, ale pociechy Bóg nie poskąpił w tem dziecku poczciwem. Na wszystko ma czas. I gospodarstwem się zajmie i o biednych pamięta i książkę zawsze jakąś przeczyta; na fortepianie też wygrywa, aby mnie rozweselić. Ot łaska Boża! Teraz co innego przed nami. Pozwól panie doktorze, żebym wychylił ten kielich na pańskie powodzenie, wdzięczny za ten zaszczyt, jaki mi pan wyświadczył — odwiedzając starego w tym skromnym domku. Bardzo to sobie cenię, bardzo wdzięczny jestem. Pan na takiem stanowisku nie wahał się odwiedzić sługę swojego przyjaciela, zwykłego leśniczego.

W odpowiedzi na to wyciągnął Wolfgang obie ręce ku staremu i uściskał go najserdeczniej.

— Przysłuchując się wczorajszej rozmowie, powziąłem dla pana najgłębszy szacunek. Mało już dzisiaj ludzi podobnych panu. Nie dla wszystkich już dzisiaj bywa cześć imienia świętością.

Stary spojrzał na Wolfganga i łzy mu stanęły w oczach. Ściskał jego ręce i przez chwilę słowa przemówić nie mógł. Potem otarł pięścią łzy w oczach, nalał kieliszki i z żywością zawołał:

— Na cześć, na powodzenie, na długie życie pańskiego przyjaciela a mojego dobroczyńcy. Niech żyje pan Dossenau!

Wypróżnili kieliszki.

— Bardzo to dla mnie zaszczytne i przyjemne, że mnie pan nazywa przyjacielem pana Dossenaua, ale nie chcę, aby pan mylnie sobie tłómaczył powód mojego przybycia. Ja tu przybyłem, przyjąwszy pewne obowiązki i czekają mnie tu zajęcia. Nie jestem tu gościem, lecz wezwanym do pracy.

— A, proszę bardzo pana doktora, więc ja przecież odrazu domyśliłem się tego, ale nie wypadało mi się przyznać. Będzie tu zajęcia dużo, bardzo dużo. Są tu różne zawikłane procesy, zatajone zbrodnie. Oho! będzie dla pana doktora nie mała robota!

Było widoczne, że Barlow poczytywał Wolfganga za sędziego śledczego i dlatego się tak ucieszył. W skołatanej głowie starca zaświtała nadzieja, że zjawiwszy się tu sędzia śledczy odrazu dociecze prawdy, wykryje mordercę, wykaże niewinność starca. Żal było Wolfgangowi narazić biedaka na rozczarowanie, odebrać mu tę pocieszającą ułudę, ale poczucie prawości nie dozwalało mu przedstawiać się pod inną postacią. Więc też łagodnie, żartobliwie rzekł do starego:

— Jestem doktorem, ale filozofii, a nie prawa. Będę się zajmował badaniem starych ksiąg, starych dokumentów, ale nie zadawnionej zbrodni. Mimo tego miło mi będzie we wszystkiem być panu pomocnym.

Barlow posmutniał. Znowu pochylił głowę i głosem rzewnym odezwał się z cicha:

— Dziękuję, bardzo dziękuję za życzliwość. Chociaż pan nie jest sędzią, przecież może posłuchasz tego, jak się to wszystko stało. Z pana człowiek zacny, widzę to dobrze, to panu powiem wszystko, bo to jakoś lżej na duszy, jak się człek wygada przed uczciwym człowiekiem.

— Bardzo dziękuję za zaufanie; posłucham chętnie, ale przedewszystkiem pozwolę sobie zadać panu pytanie, dlaczego pan tak wytrwale tą przedawnioną sprawą się zajmuje, skoro przecież niewinność pańska udowodnioną została.

— Moja niewinność udowodniona, lecz to kłamstwo! Wyprostował się, oczy mu dygotały płomieniem, krew na twarz wystąpiła, głos jak dzwon pełny, silny, miał w sobie energię, pochodzącą z gwałtownego uniesienia. Kłamstwo — powiadam panu! Uwolnili mnie dla braku dowodów, ale wciąż im się zdaje, że ja jestem mordercą. Otaczają mnie tu szpiegi dokoła przez lat trzydzieści, bo się ludziom zdaje, że pierwej czy później wyjdzie u mnie coś na jaw, że się czemś zdradzę, odsłonię. Gdyby nie pan Dossenau, nie jego opieka, toby mnie może jeszcze teraz zamknęli do więzienia.

— O ile przysłuchiwałem się wczorajszej rozmowie i wnioskując z tego, co mi pan Dossenau opowiadał, miałem to przekonanie, że opinia publiczna już dawno z tem się pogodziła, że pan jest człowiekiem niewinnym, że istotny zbrodniarz ukrył się przed wymiarem sprawiedliwości.

— Dlatego to właśnie chcę panu wszystko opowiedzieć — mówił Barlow już nieco uspokojony. Oto taka historya: Gdy się wieść rozeszła, że pan Erich Dossenau został w nocy w lesie zastrzelony...

— Zastrzelony? — przerwał doktor — czy krewny, lub brat pana Dossenaua?

— Toś pan o tem nie słyszał? to panu Dossenau nic o tem nie opowiadał? Aha! rozumiem! on tu pana na to sprowadził, abyś pan, panie doktorze, odemnie o wszystkiem się dowiedział, bo on sam nie lubi o tem mówić. Skoro tak, to musimy zacząć od początku. Jest temu panie doktorze lat trzydzieści sześć, jak objąłem obowiązki leśniczego. Wtedy Alltroppen, Dossenau i przyległe folwarki należały do nieboszczyka starszego pana. Doskonały gospodarz, pracowity człowiek, żył oszczędnie, chociaż dostatnio, bo dochody nawet i na zbytki mogły były wystarczyć. Nieboszczyk pan mieszkał w pałacu w Dossenau, a nie w tem starem zamczysku. Słynął daleko i szeroko jako człowiek prawy, rzetelny, honorowy; był też i dobroczynny, a właściwie powiedziawszy to troszczył się zawsze bardziej o drugich, niżeli o siebie. Nie tylko nie odmawiał nikomu pomocy, kto się do niego zgłosił, ale nawet wyszukiwał takich, którzy pomocy potrzebowali. Miał dwóch synów; starszy — pan Curt, obecny mój dobroczyńca, i młodszy — Erich. Między nimi nie było żadnego podobieństwa, jakby nie byli dziećmi jednego ojca i jednej matki. Pan Curt wdał się w ojca; stateczny był zawsze, od lat najmłodszych, oszczędny, dla ludzi hojny, uczynny. Erich był gwałtowny,



Oto mieszkanie mojego ojca. Może go pan zechce odwiedzić?

lekkomyślny, grosza nie szanował, długi zaciągał. Nie lubili go oficyaliści i służba, bo był dla wszystkich opryskliwy i cierpki. Starszy pan upominał go, powściągał. Kończyło się na tem, że p. Erich przyrzekał ojcu poprawę, dostawał pieniądze na zapłacenie długów, wyjeżdżał do miasta, żeby je popłacić, bawił się tam doskonale, nowe długi zaciągał, a gdy już wszystko wydał do ostatniego fenigа, wracał do domu w jednem ubraniu, które miał na sobie.

Nieraz to starszy pan gorzko na to zapłakał, ale pan Curt zawsze brata osłaniał, bronił i biednego ojca pocieszał. Nie wiem, co się to stało, dość że pewnego razu pan Erich wyjechał nagle z domu i nikt nie wiedział: dokąd. Służba pokojowa szeptała między sobą, że jakieś straszne działy się rzeczy. Starszy pan dostał z poczty list; gdy go przeczytał, krzyknął przeraźliwie, potem chodził po swoim pokoju, głową bił o ścianę. Gdy to stary lokaj zobaczył przez szparę we drzwiach, pobiegł zaraz do pana Curta i powiedział o wszystkiem. Szczęście, że pan Curt był w pałacu, bo kto wie, coby się tu było stało. Pobiegł zaraz do ojca i coś widać nie lada rzecz się działa, bo nieboszczyk pan wciąż wykrzykiwał: „Złodziej, oszust, kryminalista“. Pan Curt uspokajał nieboszczyka i rzewnym płaczem go zaklinał, aby się uspokoił. Jakoś tam lokaje podsłuchali, że w owym liście doniesiono nieboszczykowi panu, że pan Erich pooszukiwał ludzi, ponapożyczał pieniędzy na fałszywe weksle i że go zaskarżą do kryminału, jeżeli tej ludzkiej krzywdy zaraz nie wynagrodzi. Dopiero w kilkanaście lat potem dowiedziałem się, że nieboszczyk pan chciał wydziedziczyć pana Ericha i z domu wypędzić; ale pan Curt wyjednał tyle, że nieboszczyk owe fałszywe weksle pozapłacał, wszystkie oszustwa załagodził, dał panu Erichowi kilkadziesiąt tysięcy—oświadczając, że tyle mu zostało z całej spuścizny po ojcu, bo właściwie całe swoje dziedzictwo przehulał i przemarnował. No i wyjechał pan Erich. Oficyaliści i służba bardzo się z tego cieszyli, bo teraz lżej było i spokojniej w domu. Pan Curt wyręczał ojca we we wszystkiem, ostro pilnował porządku w gospodarstwie; jak było potrzeba to umiał nakrzyczeć i pogrozić, ale nikogo nie szkalował, przezwiskami nie miotał, niesprawiedliwie się o nic nie czepiał.

Ale stare panisko spospępniało bardzo. Chodził po kątach, jakby czegoś szukał, zaglądał wciąż do pokoju pana Ericha i tak jakoś zeszło kilka tygodni, aż pewnego razu pod wieczór nieboszczyk pan zachorował. Pan Curt posłał zaraz po lekarza; lekarz wyjechał z pałacu jakiś smutny, a lokaj dosłyszał, jak wsiadając do powozu, rzekł do pana Curta: „Ostrożnie, bardzo ostrożnie, bo udar serca lada chwila nastąpić może“. W kilka dni potem zaszedł pan znowu do pokoju pana Ericha, usiadł na fotelu i rozglądał się po ścianach. Teraz już pan Curt prawie nigdy ojca nie odstępował i dlatego przyszedł za nim do pokoju brata. Nieboszczyk pan spoglądа na ściany, to na pana Curta, aż chwyta się ręką za piersi i szepcze: „Słabo mi. Kochałem go bardzo... powiedz mu, że błogosławię i przebaczam, chociaż mnie zabił. Nakazuję ci pod błogosławieństwem ojcowskiem, abyś mu nigdy bratem być nie przestawał...“

To były ostatnie słowa nieboszczyka pana, zmarł na udar serca, jak lekarz przepowiedział.

O panu Erichu zaginęły wieści, nie dawał o sobie żadnej wiadomości, aż dopiero na pogrzeb ojca przyjechał.

Po pogrzebie został już w Dossenau i tak rozporządzał, jakby on tu był panem, a nie brat starszy. Pan Curt był dla brata pobłażliwy, na wszystko pozwalał. Nie mogłem tego nigdy zrozumieć, jak ci dwaj bracia, tak do siebie niepodobni, pod jednym dachem w spokoju i zgodzie żyć mogli.

W kilka miesięcy po śmierci starszego pana, znowu pan Erich wyjechał, znowu przez pół roku tłukł się po świecie, hulał, grosz marnował, dopóki stało gotówki, w którą go pan Curt zaopatrzył, dopóki starczyło kredytu. Gdy się wyczerpało jedno i drugie, wrócił do Dossenau, jeszcze zjadliwszy niż dawniej. Teraz zaczął mnie prześladować.

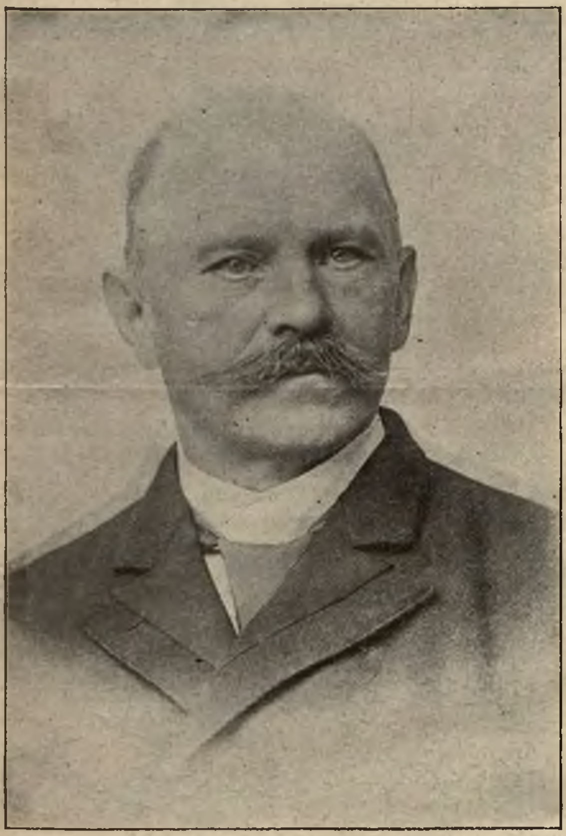
Starzec przerwał opowiadanie, jakby zmęczony; wsparł głowę na dłoniach i zamyślił się. Wolfgang nie przerywał i dość długo trwało milczenie. Niespodzianie zerwał się Barlow, wyprostował, oczy mu się zaiskrzyły i zawołał głosem prawdziwie groźnym:

— Czego ten człowiek chciał odemnie? Chciał mnie uczynić złodziejem, oszustem. Raz przychodzą jacyś nieznajomi ludzie do lasu, mierzą drzewa; pan Erich zjawia się, oprowadza po tych miejscach, gdzie drzewostan był najstarszy. Zdziwiło mnie to bardzo, ale przy obcych nie chciałem pana Ericha o nic pytać; zachowywałem się wobec niego z uszanowaniem, jak wobec brata mego pryncypała. Ponieważ pan Erich do mnie nic nie mówił, oddaliłem się, a przy wieczornym raporcie miałem o tem powiedzieć panu Curtowi. Tymczasem, jakoś koło południa, przychodzi do mnie Erich i powiada, że sprzedał handlarzom sto kloców w lesie i rozkazuje mi, abym to drzewo dał zrąbać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zjazd demokracyi.

Przez trzy dni, sobotę, niedzielę i poniedziałek, toczyły się w Krakowie w sali Rady miejskiej doniosłe obrady. Zjechała tu mianowicie cała demo-



Smierć zasłużonego kupca: Ś. p. Jan Kwiatkowski. (Do artykułu na str. 15).

kracya polska kraju, przedewszystkiem posłowie do Rady państwa i na Sejm krajowy oraz cały szereg wybitnych przedstawicieli myśli demokratycznej. Obok osiwiałych przodowników, dr. Rutowskiego, Albina Rayskiego, Merunowicza, Stwiertni — stawiła się generacya młodsza z prezesem Koła polskiego drem Głąbińskim i prezydentem m. Krakowa dr. Leo na czele.

Ważne sprawy powołały bojowników demokracyi na narady do Krakowa. Należało omówić wszechstronnie sytuacyę polityczną w kraju i państwie, tak gruntownie zmienioną skutkiem wprowadzenia powszechnego głosowania przy wyborach do Rady państwa, należało zastanowić się nad nadchodzącymi wyborami do sejmu galicyjskiego, zwłaszcza iż te wybory odbyć się mają na podstawie dawnej, kuryalnej, ordynacyi wyborczej.

Ze względu na nadzwyczaj liczny udział uczestników, ze względu dalej na to, iż zjawili się przedstawiciele wszystkich odcieni demokracyi, obradom krakowskim należy przypisać bardzo doniosłe znaczenie. Był to dalszy a poważny krok naprzód w dążeniu do fuzyi stronnictw demokratycznych, które dotąd szły luzem, niejednokrotnie bardzo ostro się zwalczając. Początek do tej akcyi dała zainicyowana tak szczęśliwie przez prezydenta dr. Leo „Unia demokratyczna“ w wiedeńskiem Kole polskiem.

Że taka fuzya stronnictw demokratycznych jest nietylko bardzo pożądaną, ale i zupełnie możliwą, dowiodły tego obrady krakowskie, dowiodły swą powagą, swą jednomyślnością i rozolucyami w całym szeregu ważnych spraw.

Obrady demokracyi rozpoczęły się w sobotę popołudniu. Zebraniu sobotniemu, w którem wzięli udział przedstawiciele wszystkich odcieni demokracyi, z wyjątkiem demokracyi narodowej, przewodniczył członek wydziału krajowego dr. Jahl. Następnego dnia i w poniedziałek obradowali członkowie „Unii demokratycznej“ Koła polskiego w Wiedniu wraz z członkami „lewicy sejmowej“ pod przewodnictwem p. A. Rayskiego.

Na sobotniem zebraniu, które było konferencyą stronnictw demokratycznych, zwołaną przez krakowskie „polskie stronnictwo demokratyczne“, wygłosił p. Stwiertnia referat na temat „dzisiejszej sytuacyi politycznej“, dr. Bandrowski mówił o „polskiem stronnictwie demokratycznem wobec Unii demokratycznej“, a p. Petelenz o sprawie wyborów sejmowych. W tej ostatniej sprawie powzięto uchwałę, uznającą konieczność współdziałania wszystkich stronnictw demokratycznych i zorganizowania wyborczego komitetu demokratycznego, oraz konieczność reformy wyborczej sejmowej na podstawie czteroprzymiotnikowego prawa głosowania.

Na zebraniach niedzielnem i poniedziałkowem zaś, które były zebraniami posłów demokraty-



Skon Pruskiego pedagoga: Dr. G. Hinzpeter.

cznych, składał sprawę prezes Koła polskiego w Wiedniu dr. Głąbiński, któremu uchwalono podziękowanie i uznanie, poczem prezydent dr. Leo przedstawił zasady programu Unii stronnictw demokratycznych, który to program ma służyć za platformę wyborczą przy wyborach do sejmu. Ponadto przyjęto referat dr. Bandrowskiego o organizacyi i taktyce Unii przy wyborach sejmowych.



Aparatem redakc. W. Lis.

Zjazd demokracyi: Uczestnicy zjazdu demokracyi polskiej w lokalu stow. Izby rękodzielniczej na »Kotłowem«.

W niedzielę wieczór odbyło się w sali starego teatru zebranie towarzyskie, przedtem zaś odwiedzili uczestnicy obrad lokal Izby rękodzielniczej na Kotłowie, zaproszeni tam przez prezesa Izby p. Kosobuckiego.

Kronika tygodniowa.

Jeden z moich znajomych, suplent gimnazyalny, korzystając z feryj świątecznych, wyjechał na parę tygodni z Krakowa. Wprawdzie wspominał mi o tem, że wyjeżdża, ale zapomniałem go się spytać, które strony świata zaszczyci swoją osobą. W dzień wigilijny otrzymałem od niego pocztówkę z życzeniami Wesołych świąt, pisaną z Kaltwasser, w której mnie zawiadamiał, że wybiera się do Falkensteinu i Reichenbachu. Jako nie biegły w geografii nie wiedziałem, w którym kraju koronnym państwa austryackiego (bo marki były austryackie) te miejscowości się znajdują. Niewiele objaśniała mnie i pocztówka, otrzymana na Nowy Rok z Rosenbergu. To też kiedy szanowny podróżnik powrócił do Krakowa, aby dalej przekonywać młodzież, że suma kątów w trójkącie równa się dwom kątom prostym, i że w żaden sposób ułamek nie może być większym od całości — zapytałem go (nie przyznając się do moich „braków“ geograficznych), skąd mu przyszło zapędzać się w obce strony. „Ależ panie (odrzekł), to moje strony rodzinne — w tej okolicy mieszka cała rodzina mojej matki“. Spojrzałem zdziwiony — trudno mi było domyśleć się czy drwi ze mnie, czy mówi na seryo. Chcąc się o tem przekonać zagadnąłem: „To pańska matka, kochany profesorze, pochodziła z rodziny niemieckiej?“ Z kolei pan profesor zrobił minę zdziwioną i jakby obrażoną. „Panie — odrzekł po chwili — moja matka była z domu Zielińska, skąd więc panu przyszło do głowy robić ją Niemką?“ Czułem, że tracę grunt pod nogami, ze złością zatem rzuciłem w odpowiedzi: „Na jakiego więc dyabła rodzina pańskiej matki opuściła kraj i osiadła na ziemi niemieckiej?“ Profesor na razie skamieniał, ale że nauczyciele są w szkole przyzwyczajeni do wszelkich, choćby najbardziej oryginalnych zapytań, przeto wkrótce odzyskał równowagę i zwolna wycedził: „Na ziemi niemieckiej? Co to znaczy — czy pan drwi sobie ze mnie?“ Tego mi było zzdużo, więc już nie hamując się w uniesieniu, zawołałem: „Dość żartów, łaskawy panie. Piszesz pan do mnie z Kaltwasser i Rosenbergu, wstępujesz pan do Falkensteinu i Reichenberga i chcesz twierdzić, że to nie strony niemieckie? Więc jakie u licha: chińskie, portugalskie, kamczadalskie, hotentockie, czy.....“. Nie skończyłem, bo profesor wpadł w śmiech szalony. Śmiał się minutę, dwie, pięć, nareszcie wysapał się i klepiąc mnie po ramieniu wykrztusił: „Dobrze, że pan nie jesteś moim uczniem, bo dałbym panu złą notę z geografii.“ Tak ugodziwszy mnie w piętę Achillesową, mówił dalej: „Urodziłem się, drogi panie, pod Lwowem, a w powiecie lwowskim prócz Kaltwasseru, Rosenbergu, Reichenbachu i Falkensteinu, są jeszcze wsie, nazywające się Dornfeld, Einsiedel, Lindenfeld i Weinbergen. Obok w powiecie gródeckim masz pan Neuhof, Walddorf, Weisenberg, Hartfeld, Rottenhau, Schönthal i Ottenhausen. To pana dziwi? Ależ, drogi panie, w Galicyi jest z górą setka podobnie nazywających się miejscowości. Samych „gór“ (bergów) niemieckich mógłbym wyliczyć panu z tuzin: Falkenberg w pow. dobromilskim, Engelsberg w dolińańskim, Josephsberg i Ugartsberg w drohobyckim, Königsberg w łańcuckim itd. Są i niemieckie „strumyki“: Deutschbach, Mühlbach, Fehlbach, pola niemieckie: Rehfeld, Dornfeld, doliny: Prinzenthal, Schönthal, Felizienthal, a wsi co niemiara: Walddorf, Neudorf, Karlsdorf itd. Dodaj pan do tego rozmaitą nierogaciznę: Hoffnung-sau, Königsau (boć i tak mi czytać i wymawiać wolno) — a cóż dziwnego, że jak do nas przyjedzie poczciwy hakatysta, to się czuje, jakby w swoim Vaterlandzie“.

Przyznaję się, że o tej „niemieckiej części“ Galicyi nie miałem dokładnego wyobrażenia. Wiedziałem, że są miejscowości o nazwach niemieckich, ale żeby ich tyle było, nie sądziłem. Widocznie moją nieznajomość geografii Galicyi podzielają i mężowie stanu rządzący Galicyą, kiedy dotychczas nie postarali się wyplenić tych chwastów z naszej ziemi. A warto zwrócić uwagę na to, że niektóre z tych miejscowości są zamieszkałe przez większość ludności polskiej lub ruskiej. Tak np. Wildenthal w pow. kolbuszowskim liczy Niemców i Niemkiń w kupie razem z niemowlętami sztuk 120, w Freifeldzie (w cieszanowskim) jest ich 83, w Felsendorfie 64, w Prinzenthalu (pow. dobromilski) 69, w Rosenbergu pod Lwowem 53, w Rehbergu (pow. jaworowski) 34, a w Deutschbachu (pow. cieszanowski) 17. Cyfry to bardzo wymowne, bo z nich się okazuje, że szanujemy narzucone obce nazwy nawet tam, gdzie z przybyszów zaledwie ślad pozostał. Cóż dziwnego, że im rosną rogi, jak np. w Knihininie pod Stanisławowem. Sprowadzeni do niego w r. 1788 koloniści niemieccy, zaczęli się już rozpływać, ginąć, kiedy z przybyciem pastora Zocklera rozpoczęły się na nowo w tej gminie rządy niemieckie. Straż ogniowa knihiniecka przyjęła niedawno komendę niemiecką, a na rekwizytach napisy „Knihinin-kolonia“ zamieniła na „Deutsche Kolonie“.

Wobec tego oczekujemy niecierpliwie zapowiedzianej „Straży Polskiej“, która ma stanąć w obronie naszych ekonomicznych i moralnych interesów narodowych. Nad zawiązaniem jej pracują, o ile mi wiadomo, prof. uniw. dr. Grabowski, p. Marya Siedlecka, adw. Rozwadowski, radca Bartoszewicz, inspektor Wróbel, prof. Magiera itd. Obrona kresów, wypieranie przemysłu obcego, uświadamianie ludu, budzenie wśród niego ducha narodowego, odniemczanie Galicyi itd. — oto cel, jaki ma „Straży Polskiej“ przyświecać. Szczęść Boże! byle prędzej i byle nasze społeczeństwo usiłowania założycieli poparło.

Sprawa walki z hakatą, jakkolwiek się ona objawia, tak stoi na pierwszym planie naszego codziennego życia, że trudno od czego innego rozpoczynać kronikę tygodniową, a to tem więcej, że materyał kronikarski jest nadzwyczaj skąpy.

W Krakowie mieliśmy zjazd demokratyczny, lub, jak złośliwi mówią (ja do nich nie należę), zjazd poszukiwaczy posad i mandatów. Co na nim uchwalono, pokryte jest głęboką tajemnicą. Najlepiej podobno z całego programu wypadł bankiet, jaki na cześć przybyłych posłów wydało mieszczaństwo krakowskie, które już od 1-go listopada wyznaje zasady demokratyczne.

Drugim faktem, godnym podniesienia, są badania magistratu nad cenami mięsa i pieczywa. Dowiadujemy się z nich, że ceny te (zwłaszcza mięsa, a z mięsa zwłaszcza cielęciny) „można uważać za nieusprawiedliwione). Dobre i to. Będziemy wprawdzie dalej drogo płacili, ale będziemy mieli moralną satysfakcyę, że magistrat nie usprawiedliwia popełnianego na nas zdzierstwa.

Pozatem w Krakowie mało co słychać. Już dwa tygodnie upływa od ostatniego wielkiego pogrzebu, a bale jeszcze się nie rozpoczęły. Ale nie obawiajcie się. Mimo „ciężkich czasów“ i „potężnych ciosów“ nogi i nóżki wypełnią swój obowiązek. Córunie i mamy szyją już, lub szyć dały powiewne stroje, które podniosą ich wdzięki. I tylko pesymista trawestować będzie znany utwór wielkiego poety:

Mama nie wraca. Ranki i wieczory
We łzach jej czekam i trwodze,
Automobile mkną i koprofory,
A tu resursa po drodze.

Zresztą mama będzie się mogła wymówić zegarem ratuszowym, którego niejednozgodność jednozgodnie stwierdzają krakowskie dzienniki. Poczciwiec ten dla każdej strony świata inną ma godzinę: kiedy dla wschodu pokazuje 9-tą, dla zachodu ma 4-tą, dla południa 2-gą, a dla północy jedenastą. I cóż dziwnego, że mama będzie wracała o 6 ej rano, sądząc, że to dopiero 11 wieczorem.

We Lwowie cisza jak przed burzą. Nadejdzie ona w marcu — zacznie się wyborami do sejmu, a skończy się wyborami do rady miejskiej. Zapowiadają, że będą dziać się rzeczy nadzwyczajne. Już i dziś widzimy tych nadzwyczajności początki: oto jeden z dzienników wskrzesił dawno zmarłego Gladstona i dziwi się wielce, że ten mąż stanu „nie chciał czy nie umiał“ odpowiedzieć na interpelacyę, jaką pred paru tygodniami wystosowała jakaś sufrażystka angielska w sprawie dopuszczenia kobiet do głosowania.

W Warszawie o nadzwyczajne rzeczy stara się jak zwykle p. Rajchman. Zanim nadjedzie Toselli ze swą głośną żoną, będzie Filharmonia dawała wieczory mistyczno nastrojowe, z programem (powtarzam dosłownie) „o nastrojach ponurych, religijnych, melancholijno-romantycznych“ w połączeniu z melodeklamacyą z towarzyszeniem melodykonu.

Prócz tego w Warszawie powstaje towarzystwo „Przedświt“. Nazwa wielce obiecująca. Sądzicie zapewne, że idzie tu o budzenie ducha, o oświatę ludu, o jakąś wielką inicyatywę ekonomiczną, lub coś podobnego. Nie — „Przedświt“ będzie miał skromniejsze zadanie; celem jego będzie udzielanie pomocy śpiewakom i śpiewaczkom chcącym się kształcić za granicą. Już sto osób ze sfer arystokratycznych zobowiązało się należeć do „Przedświtu“, któremu przewodniczy ks. Konstantowa Lubomirska. Rzeczywiście, jeżeli kiedy to teraz takie towarzystwo jest na czasie, ponieważ liczba śpiewających „Tadeusza“ ogromnie się zwiększyła. Powtóre, jeżeli co, to troska o śpiewaków i śpiewaczki powinna nam przedewszystkiem leżeć na sercu, bo to tak miło słyszeć, że „organ głosowy“, wykształcony za nasze pieniądze, jeżeli jest coś wart to śpiewa za granicą, a jeżeli głos straci, to powraca do ojczyzny. Arystokracya warszawska jeszcze raz dowiodła, że najlepiej pojmuje ducha czasu i potrzeby narodowe. Pamięta ona o słowach autora „Przedświtu“ (hr. Zygmunta Krasińskiego):

Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję.
Drogi przed nami otwarte są inne,
Zgińcie me pieśni — wstańcie czyny moje

—i zdobywa się na nowy „czyn, na nowy „Przedświt“ z wkładką miesięczną po 5 rb.

W reszcie Europy poza Warszawą, Lwowem i Krakowem także niewiele słychać. W Portugalii przycichła rewolucya — Koburg (gdzie tych Koburgów niema?) prawdopodobnie utrzyma się na tronie. - Hr. Moltkemu przywrócono sądownie szacunek ze strony płci pięknej. — W Anglii znalazł się człowiek (?) pochwalający pruskie wywłaszczenia i tępienie języka polskiego — nazywa się ten pan Edward Dicey, pochodzi z rasy Yorkshire. — Wiedeń zaciąga pożyczkę 300 milionową, długi jego wynosić będą 938 milionów koron; jest nadzieja, że Kraków i Lwów zechcą pójść za jego przykładem.

W Ameryce budzi niepokój obecność floty amerykańskiej na Oceanie Spokojnym; niemniejszą obawę wywołuje brak floty w bankach amerykańskich. — Nie sprawdza się wiadomość, aby baron Aehrenthal zamiast niemieckiej miał prowadzić politykę austryacką.

Oto i wszystko, co zdołałem wyciągnąć z pierwszego tygodnia r. 1908, mimo że roznosiciel jednego z dzienników krakowskich zapewniał w powinszowaniu, że

na ten Nowy Rok
Będzie nowin wielki stok.

Rozwiązanie zagadek z Nru 52.

Szarada I.
Krzyżacy.

Szarada II.
Pasterka.

Zagadka.
Boże Narodzenie.

Rebus.
Dominik Anno lubi herbatę z cytryną.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: A. Bocsoń Bóbrka, Persowski Krosno, L. Rogalski Mikulińce, H. Leligdowiczówna Fraga, Urząd pocztowy Starzawa, »Duśka« Lwów, F. Niepokój Krosno, M. Gałecka Warszawa, J Gomulińska Bóbrka, F. Wiśniewska Tarnów, H. Gileczkówna Krosno, L. Jabłońska Warszawa, Rożnowski Kraków, S. Gliszczyńska Warszawa, Dr. Warmski Turka, T. Kraczajtys Warszawa, K. Chodkiewicz Zbydniów, F. Kulesza Kraków, E. Jurzyńska Leszno, W. Waligórski Lwów, E Bogdalska Koropuż, R. Ogiński Lublin, Amator z ul. Nowo Wielkiej Warszawa, S. Legotke Warszawa, M. Bobowska Jasionów, A. Walewski Zborów, H. Berger Tarnopol, Kucharski Warszawa, M. Kautny Lwów, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Złowodzka Delatyn, K. Schnitzel Tarnów. J. Schmidtówna Limanowa, A. Rejman Łęk, W. Laskowski Warszawa, W. Sedlaczek Lwów. H. Pawłowska Bóbrka, Dr. Boczar Kraków, M. Samborowski Kraków, J. Vorbrodt Warszawa, Z. Furko Kraków, Ks. A Majewicz Turza, W. Samborski Kraków, A. Mussil Lwów, M. Burdowicz Stryj, J. Rozdajczer Warszawa, S. Chodcrowski Wieliczka, Dr. Zalewski Złoczów, A. Kudła Kosienice, J. Badura Rożdzień, O. Górkowa Chyrów, W. Gasperski Skierniewice, W. Kostańska Kołomyja, M. i J. Geigerówny Kraków, E. Bystrzvcki Skierniewice, A. Rotter Stanisławów, Dr. Korczyński Biecz, T. Hubl Tarnawa górna, K. Hoffman Warszawa, L. Janiec Buczacz, K. Jasiński Kraków, A. Turski Grąziowa, Dr. Majewski Kraków, Związek katolickich krawców Kraków, S. Stasiniewicz Kraków, S. Jaklówna Lwów, K. Fuchs Czeremchów, I. Krzymowski Warszawa, B Ramułtowa Jeżów, M. Nodzeńska Kraków, J. Rosenstock Kraków, Gałuszkiewicz Lwów, A. Grabowska Barwałd, H. Zielińska Manajów, C Fijałkiewicz Lwów.

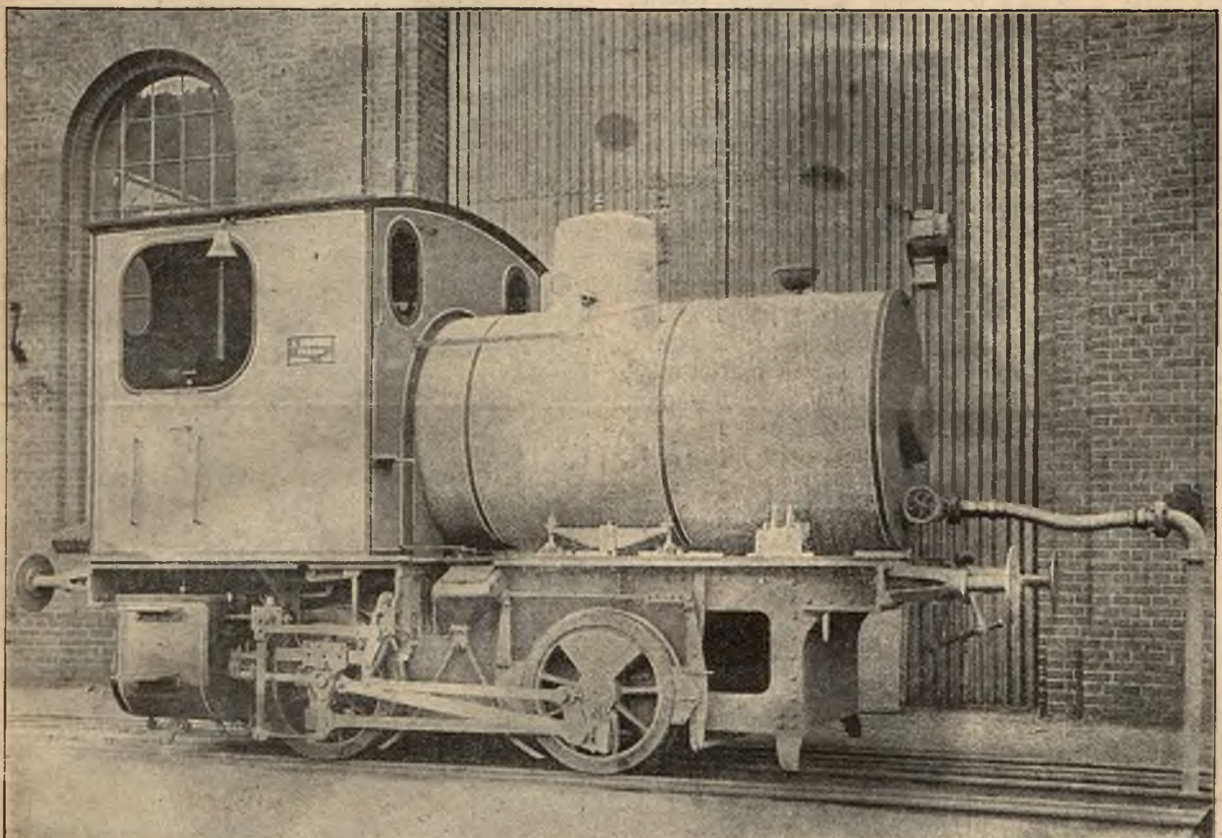
Nagrody przez losowanie otrzymali: I. Rożnowski Kraków, II. Ramułtowa Jeżów, III. Dr. Boczar Kraków, IV. O. Górkowa Chyrów, V. Bogdalska Koropuż. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Lokomotywa bez ognia.

Stulecie istnienia lokomotywy nie wiele zmieniło jej istotę i dzisiejsze maszyny parowe różnią się od pierwszych tylko ulepszeniem rozmaitych szczegółów, doskonalszem funkcyonowaniem i znacznie przyspieszonem tempem ruchów.

Zasadniczą zmianę wprowadza w lokomotywach dopiero najnowszy wynalazek, który polega na tem, iż obywać się one mogą bez ognia. W ruch wprowadza je skondensowana nadzwyczaj silnie para wodna i ogrzana do bardzo wysokiego stopnia. Parę tę, pomieszczoną w wielkim, silnie zbudowanym kotle, poddaje się olbrzymiemu ciśnieniu, w następstwie czego wprowadza ona w ruch koła.

Dobrą stroną tego wynalazku jest to, iż unika się niebezpieczeństwa pożaru i że usuwa się szkodliwy dym. Nadto siła tej skondensowanej pary daje znacznie wyższą szybkość. Wobec tych korzyści spodziewać się można, że najnowszy wynalazek w dziedzinie techniki maszyn, znajdzie już w najbliższej przyszłości szerokie zastosowanie.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Lokomotywa bez ognia: Nowowynaleziona maszyna, poruszana siłą zgęszczonej pary.

Śmierć zasłużonego kupca.

(Do illustracyj na stronie 13).

Kupiectwo krakowskie dotknięte zostało dotkliwą i bolesną stratą. Zmarł bowiem jeden z najwybitniejszych przedstawicieli jego, Jan Kwiatkowski, podstarszy Kongregacyi kupieckiej i wieloletni radca miejski.

Śp. Jan Kwiatkowski był dzieckiem Krakowa, gdzie światło dzienne ujrzał 1843 r. Po ukończeniu dawnej akademi technicznej poświęcił się zawodowi kupieckiemu. W tym właśnie czasie wybuchło powstanie styczniowe. Ś. p. Jan Kwiatkowski pospieszył w szeregi walczących, a wstąpiwszy do oddziału Langiewicza, brał udział w kilku potyczkach. Pod Miechowem dostał się do niewoli i przez rok więziony był w Orle, poczem został zesłany na Sybir, gdzie spędził 4 lata. Otrzymawszy ułaskawienie, powrócił do Krakowa i tu założył w 1868 r. handel węgla, który prowadził do końca życia.

Zmarły brał bardzo czynny udział w życiu publicznem Krakowa. Wszedłszy przed 15 laty do Rady miejskiej, należał do jej bardzo pracowitych członków. Zasiadał nadto w wydziale Izby handlowej i przemysłowej, w tow. Tatrzańskiem, którego był wiceprezesem, w tow. Strzeleckiem i wielu innych.

Głównem jednak polem jego działalności była Kongregacya kupiecka, gdzie piastował godność podstarszego i gdzie położył bardzo wiele zasług. To też śmierć jego okryła żałobą w pierwszej linii kupiectwo krakowskie; na znak żałoby w dniu pogrzebu zamknięte były wszystkie sklepy, a członkowie Kongregacyi, oraz członkowie stow. kupców i młodzieży handlowej wzięli gremialny udział w smutnym obrzędzie.

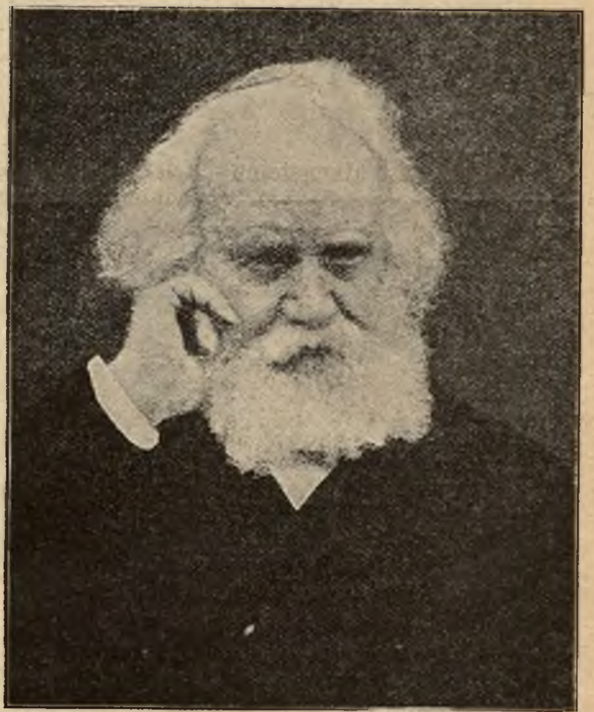
Karanie przestępców.

Rozpoczęta przed niedawnym czasem we Francyi silna agitacya za zniesieniem kary śmierci, spotyka się z oporem szerokich sfer ludności, przerażonej wzrastającą liczbą codziennych morderstw apaszów. Różnica ta w zapatrywaniach na ewentualną zmianę kodeksu karnego znalazła oddźwięk i w prasie, która przedstawia rozmaite stopnie kary we Francyi i za granicą.

Najcięższych zbrodniarzy, którzy nie podlegają karze śmierci, deportuje sprawiedliwość francuska do Gujany, gdzie zesłańcy muszą wykonywać przymusowe roboty. Wprowadzony jest tam system zasługi, tak iż zesłaniec, który okazuje poprawę, przeznaczany bywa stopniowo z biegiem czasu do lżejszych zajęć i wreszcie może dojść do pewnej swobody. Trudno spodziewać się po tych przymusowych obywatelach gujańskich, by zapomnieli dawnego trybu życia. I tam, chociaż są pod ścisłym dozorem, zdarzają się przestępstwa, a zwłaszcza częste bywają kradzieże.

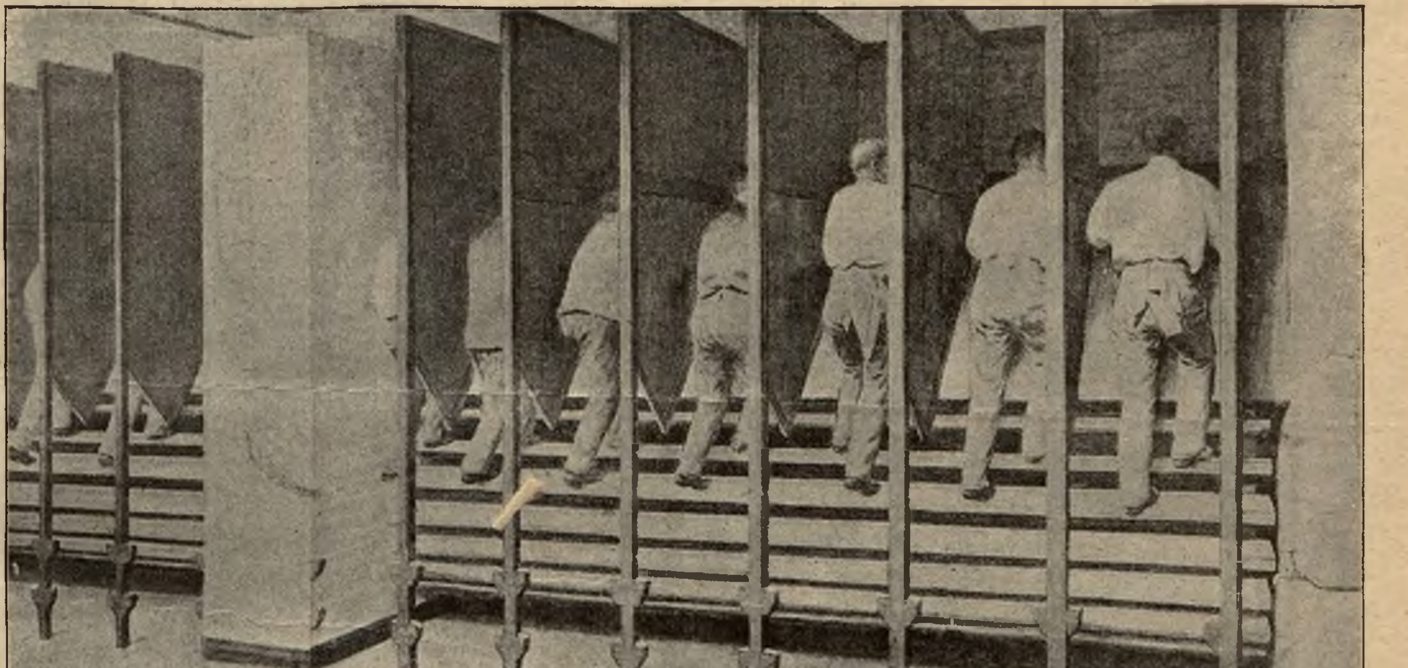
Rycina nasza przedstawia właśnie, jak jeden z więźniów oskubuje skradzioną kurę, dwaj inni zaś zasłaniają go przed wzrokiem dozorcy. Do krnąbrnych przestępców, stosowana jest tam specyalna kara. By odosobnić ich od reszty towarzyszów, muszą oni w oddalonym zakątku kolonii przenosić ciężkie belki z jednego miejsca na drugie i z powrotem. Praca ta należy do najsurowszych kar, stosowanych na Gujanie.

Podobnego sposobu postępowania, a bardziej skomplikowanego trzymają się i władze angielskie ze swoimi więźniami. W centralnem więzieniu w Portlandzie wprowadzają przestępców do specyalnych przegródek, gdzie muszą nogami poruszać szerokie koło młyńskie. Każdy ruch ich musi być wymierzony, regularny, koło bowiem ciągle się obraca i kto nie w porę wysuwa nogi, tego szczebel koła silnie rani. Praca taka trwa dziennie od ośmiu do dziesięciu godzin z małemi przerwami na posiłek i odpoczynek. Wogóle we wszystkich



Skon znakomitego astronoma: Piotr Janssen.

(Do artykułu na str. 10).



Karanie przestępców. Więźniowie w Portlandzie obracający nogami koła młyńskie.



Skon biskupa Sandomierskiego: Ksiądz biskup Stefan Zwierowicz.

więzieniach te kary „bezowocne" bywają stosowane do najzaciętszych zbrodniarzy, którzy dopiero przy takim trybie życia łagodnieją i okazują poprawę.

Oryginalna reklama.

Krakowska filia znanej w całym świecie firmy Singer & Co. tow. akcyjne maszyn do szycia, przy ul. Szpitalnej l. 40, urządziła w oknach swego sklepu wspaniałą a bardzo piękną i oryginalną wystawę. Oto przedstawia ona wnętrze chaty wiejskiej z okolic krakowskich w wieczór wigilijny. Na pierwszym planie widnieje para włościan w pięknych, malowniczych strojach ludowych, w głębi zaś dwoje dzieci, które z zaciekawieniem przypatrują się ruchowi przedświątecznemu w domu. Wnętrze chaty, uderzające czystością i porządkiem, wywiera bardzo miłe wrażenie. Podnosi je widok prześlicznej choinki, bogato przyozdobionej i oświetlonej, oraz duży sztandar z wyhaftowanym orłem polskim.

Wszystkie stroje oraz hafty wykonane zostały na maszynach firmy Singer et Co. Oryginalna wystawa tej firmy zwraca ogólną uwagę, a jest zasługą dyr. filii p. Rottersmana.



Oryginalna reklama: Okno wystawowe składu maszyn firmy Singer & Co.

Skon biskupa.

Z Sandomierza rozeszła się żałobna wieść o zgonie jednego z najdostojniejszych członków episkopatu polskiego, księdza Stefana Zwierowicza, biskupa sandomierskiego.

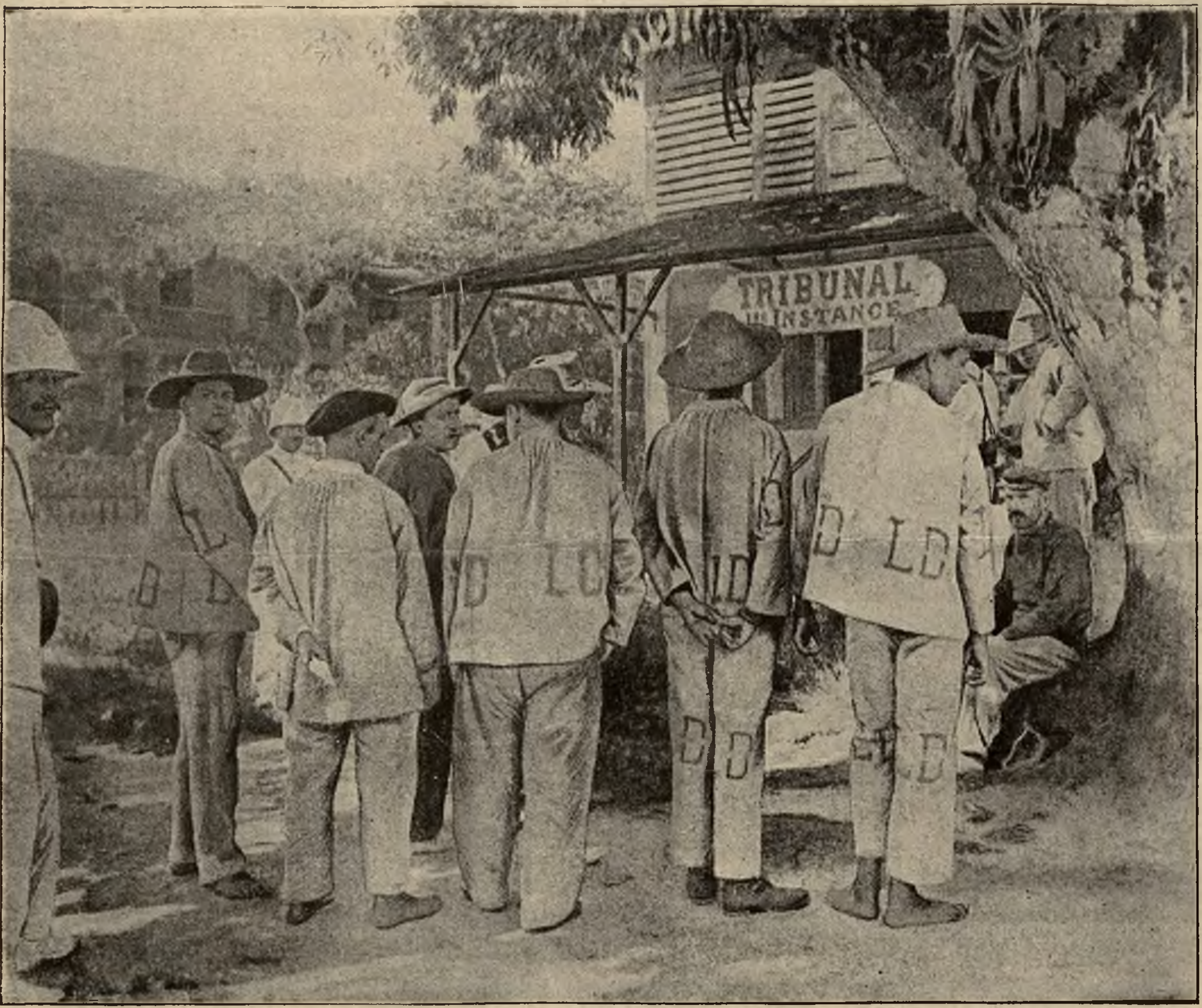
Urodzony w r. 1842 w gubernii grodzieńskiej, wstąpił zmarły arcypasterz po ukończeniu gimnazyum w Białymstoku do seminaryum wileńskiego, w którem przeszedł wszystkie stopnie od alumna do rektora, aż wreszcie został naczelnym zwierzchnikiem tego zakładu duchownego. Jako dwudziestodwuletni młodzieniec wyjechał potem do Petersburga, do tamtejszej Akademii duchownej, którą opuścił ze stopniem magistra św. teologii. Mianowany wikaryuszem kościoła pobernadyńskiego w Wilnie, został zarazem powołany na profesora seminaryum duchownego i prefekta komitetu egzaminacyjnego przy wileńskim okręgu naukowym.

Gdy na stolicy biskupstwa wileńskiego zasiadł dzisiejszy arcybiskup ks. Hryniewiecki, mianował zaraz młodego kapłana kanonikiem i dziekanem wileńskim. W kilka lat potem po przymusowem ustąpieniu ks. arcybiskupa Hryniewieckiego i śmierci jego następcy ks. biskupa Zdanowicza, ks. Zwierowicz wyniesiony został na stolicę wileńską. Dyecezya jednak nie długo cieszyła się rządami zmarłego pasterza. Między biskupem a rządem wynikł silny konflikt z powodu wydania okólnika odradzającego posyłania dzieci wyznania rzymsko-katolickiego do szkół ludowych, stojących na gruncie wyłączności religii państwowej. Nieporozumienie to zakończyło się w roku 1902 zesłaniem ks. biskupa do Tweru. Wkrótce jednak sprawa ta została zażegnaną i w końcu tegoż roku ks. biskup Zwierowicz objął dyecezyę sandomierską.

Dzisiaj obie dyecezye opłakują skon biskupa, który w historyi Kościoła zapisał imię swe złotemi zgłoskami.



Karanie przestępców: Więzień oskubujący pod osłoną swych towarzyszy skradzioną kurę.



Karanie przestępców: Grupa więźniów przed zarządem kolonii karnej w Gujanie.

Nowy dowódzca w Marokku.

W dziwnem położeniu znalazło się wojsko francuskie pod Casablanką; zwycięża w walkach, ale nie wygrywa wojny. Stanowisko szczepów pozostało



Nowy dowódca w Marokko: Generał d'Amade.

niezmienionem i jak w początkach wojny, broni one nie składają, lecz przy każdej sposobności napadają na oddziały francuskie, z szeregów których ubywa coraz więcej żołnierzy.

Położeniem tem niepokoić się zaczęły sfery decydujące w Paryżu. Podniosły się zarzuty kunktatorstwa przeciw dotychczasowemu dowódcy gen. Drude, iż swoją taktyką ośmiela okoliczne szczepy do kroków zaczepnych. Wobec tych wszystkich niepowodzeń, a zwłaszcza choroby jen. Drude'a, który zachorował na malaryę, zmieniono naczelne dowództwo wojsk pod Casablancą, powierzając je gen. d'Amade, poprzednik zaś jego został uwolniony, otrzymując na osłodę odwołania wysoki stopień orderu Legii honorowej.

Nowy dowódca należy do najmłodszych jenerałów francuskich, liczy bowiem dopiero pięćdziesiąty pierwszy rok życia; służbę wojskową pełnił przeważnie poza granicami Francyi. Już jako pułkownik został wysłany do Afryki południowej, podczas wojny boerskiej. Sprawozdania jego z terenu walki zwróciły na niego uwagę sfer wojskowych. Obecnie przebywał jako dowódca brygady w La Rochelle, skąd udał się do Paryża. Po naradzie z prezydentem republiki, z prezydentem gabinetu i z ministrem wojny, wyjechał do Afryki. Gen. d'Amade śledził pilnie cały przebieg wyprawy marokańskiej, przybędzie więc na teren walki z pewną znajomością stosunków, co pomoże mu do stanowczych zwycięstw.

Najmłodsza wiolinistka.

Na koncercie, który przed kilku dniami odbył się w sali hotelu Saskiego, wystąpiła młodziutka wiolinistka, siedmioletnia dziewczynka Helusia Helerówna.

Występ jej zwrócił uwagę muzykalnych sfer i zainteresował w wysokim stopniu słuchaczów, najmłodsza ta bowiem wiolinistka wykazała tyle zdolności muzycznych, iż zaliczyć ją należy do zjawisk niepowszednich.

Gra Helusi Helerównej, mimo cech artyzmu, jest pełna wdzięku i szczerości prawdziwie dziecięcej i jest odbiciem wiernem naiwnej i niewinnej duszy. Stąd dużo tam słodyczy, dużo uczucia, a przytem sporo werwy i temperamentu.

Produkcye najmłodszej wiolinistki oklaskiwano bardzo gorąco, a uznanie to powinno być zachętą dla rodziców utalentowanej dziewczynki, by ją w dalszym ciągu kształcili. Oklaski te były też uznaniem dla nauczyciela Helusi, cenionego prof. Marcelego Steina, pod którego doświadczonem o-



Najmłodsza wiolinistka: Siedmioletnia Halunia Helerówna.

kiem młodziutka „artystka“ zrobiła tak duże postępy, które dają wszelką rękojmię iż z biegiem, lat stanie na wyżynach sztuki.

Z lwowskiego bruku.

(Podróż lwowskiego okrętu. — Święta tradycyi. — Temat do epopei. — Brak wypadków. — Wasiński ratuje sytuacyę. — Nowy Rok, Sylwester a odmiany. — Straganiarze i strażnicy. — W naszem podwórku).

Rozkołysana nawa stolicy dobiła wreszcie przez burzliwe oceany opłatków do trwałego, suchego gruntu powszedniości. Jechaliśmy przez tygodnie świąteczne bez masztów i steru, niesieni kapryśnym wiatrem po falach trunku przez wystające rafy placków i bałabuchów. Nie obeszło się tu i ówdzie u mniej obeznanych i zatrenowanych w jeździe — bez morskiej choroby, by dać świadectwo ludowej piosence:

na drugi dzień rano
strażnik się dziwuje —
co to za cholera
słupy lakieruje?

Zapatrzeni w jasno kopcącą na wybrzeżu latarnię tradycyi — jechaliśmy naprzód. Bo Lwów czci i kultywuje tradycye, zwłaszcza te, przy których coś łyknąć (stąd „łyk“, „Łyczaków“) i przełknąć można. A święta? O, Lwów jest bardzo pobożnym... tradycyjnie pobożnym. I dla zaświadczenia swej narodowej przeszłości i obecności może zrezygnować nawet z ulicy Asnyka i Racławic — ze zbiorów kontuszów w Gwieździe i rogatywek miejskich akcyźników — pozostanie jednak polskim po wsze czasy, gdy tylko tak „do spodu“ obchodzić będzie święta.

Do opisu dziejów Lwiego grodu w czasie minionym — nie wystarczy oschłe pióro kronikarza. Trzebaby tu szerokiego rozmachu epika, jędrnych, soczystych barw i obrazów — by to życie w właściwem przedstawić świetle i niczego zeń nie uronić. Nie dorosłem do tak wielkiego zadania, usuwam się więc skromnie w kącik, rejestrując tylko wy- i upadki dni minionych.

Łatwo to jednak powiedzieć, trudniej wykonać. Albowiem we Lwowie jakby za czarodziejskiem zrządzeniem losu, z chwilą, gdy święta wjeżdżają na porządek dzienny i nocny — nic godnego uwagi się nie dzieje, coby nie miało ścisłego i bezpośredniego ze świętami związku. Te zaś wypadki nie są tego rodzaju, by można nimi świat zadziwić. O tem, jak pan Mateusz czy Kalasanty dał sobie ducha na wilię, Rok Nowy, czy Trzech Króli i w przystępie dobrego humoru rozwalił żonie halbą głowę, albo położył się na szyny tramwajowe w oczekiwaniu lepszej przyszłości — o tem, jak też panią Mateuszową czy Kalasancinę stacya ratunkowa zawijała w bandaże — o tem, jak wesoła kompania Józków i Antków naprawiała umeblowanie „pod rybką“ lub „pod szwedzkim niedźwiedziem“ — o tem wszystkiem szeroko pisały i piszą fascykuły policyi, do wypadków jednak znaczących pochód historyi zapisać tego nie można.

Stąd też dzienniki wyglądały jak wyschnięte studnie na pustyni, od których wielbłądy-czytelnicy z rozczarowaniem odwracały oczy. Tem silniej i ostrzej zarysuje się wobec tego na tem niezamalowanem tle postać ostatniego bohatera Lwowa, który w nasze przeciętne, nieciekawe życie wlał wiadro sensacyi i zainteresowania.

A imię jego jest Wasiński.

Sumienny kronikarz i w jego pojawieniu się znajdzie ścisły związek ze świętami. Oto tęsknota za ciepłem domowego ogniska w święty, wigilijny wieczór przygnała go w nasze progi. I w tem znów mały dowód, jak ludzie kochają nasze miasto i jak złodzieje znają lwowską policyę, wiedząc, że pod jej czujnem okiem im tu najbezpieczniej. Pech jednak dla Wasińskiego, a szczęście dla głodnych sensacyj dzienników zrządziło, że niektórzy z naszych komisarzy zachorowali na ambicyę Sherlocków. I tak zeszły nad Lwowem cudne dni policyjnej chwały: Wasiński, Wasińskiego, Wasińskiemu itd. Spróbowałbyś bracie zagadnąć wtedy kogo na jakiś inny temat: o teatrze, czy wystawie, czy choćby polityce!

— Ta idź pan! Panie, ale co pan mówisz „do“ Wasińskiego! To ci panie cholera... Zdolnyj chłop. „Szkoda“, że go nakryli.

To pożałowanie jest tak ludzkie — arcyludzkie! I idzie taki pan pod policyę czekać godzinami, jak zbrodniarza wieść będą karetką do więzienia sądowego. Och, my jesteśmy bardzo kulturalnem miastem...

Nie oglądnęliśmy się, jak zaskoczył nas w tym policyjno-świątecznym nastroju Nowy Rok.

Przeszedł, co prawda, wśród zwykłych tradycyjnych ceremonii gruntownego zalewania się we wszystkich lokalach. — Przyszły etnograf niemało będzie miał biedy z analizą tych wenecko-łyczakowskich zwyczajów, jakie uświęcają noc Sylwestrową u nas. Powabne (o ile zamaskowane) i zgrabne (w ulicach, gdzie pogaszono latarnie) maseczki zachrypłym z nadużywania alkoholu głosem robią wesołość na rojnych nocą ulicach. Lwów cały zda się wylał na ulice z radości, że jeszcze doczekał jednego roku.

A nowy rok schodzi na nasze kochane miasto z ironicznym półuśmiechem na skrzywionych ustach. Taki młody a już zblazowany. Ludzie raczej ze zwyczaju spodziewają się nowych rzeczy i odmian, bo w istocie rzeczy w zblazowanym młodzieńcu trudno lokować jakiekolwiek nadzieje. Zresztą nasz łyk nie lubi wstrząśnień i inowacyi. Z zadowoleniem też przyjęliśmy do wiadomości oznajmienie prezydenta Ciuchcińskiego, że przekupki „ani rusz“ nie chcą się dać przenieść na plac Strzelecki z rynku.

Radziły sekcye, komisye — plenum Rady powzięło odpowiednią uchwałę, którą zakomunikowano przekupkom.

— E, my tam już tu zostaniemy.

Naturalnie! I przekupki uratowały Lwów od „jakichś tam“ niepotrzebnych zarządzeń. Na przyszłość Rada miejska zasięgnie wprzód rady od interesowanych rzeźników czy straganiarzy i dopiero poweźmie uchwałę. Honor reprezentacyi będzie przez to uratowany.

Przez chwilę żyliśmy w strachu, że jakieś wyższe moce chcą zrobić porządek we Lwowie. W ciągu 2 dni było 5 pożarów. I tu znów na szczęście (czy nieszczęście) straż pożarna zażegnała sikawkami gniew bogów.

Jerzy Gips.

Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

7 Ciąg dalszy.

Policya niczego nie dostrzegła i dopiero nazajutrz rano zobaczono, że z willi bankiera Blanca runął balkon do wody. Śledztwo policyjne odkryło, że belki, balkon podtrzymujące, były przepiłowane tak, że pod najmniejszym ciężarem załamać się musiały. Żona ogrodnika zeznała, że około wpół do dziesiątej wieczorem udał się jej mąż z pewnym rybakiem do willi Blanców i że do tej chwili żaden z nich nie wrócił. Zdaje się, że zniknięcie tych obu ludzi pozostaje w ścisłym związku z podpiłowaniem balkonu“.

Doktor skończył czytać i schował gazetę do kieszeni. Nastała cisza w całem zgromadzeniu, jakby lęk czy wstyd wszystkich ogarnął. Nagle doktor stanął w pośrodku i rzekł tonem energicznym i rozkazującym:

— Patrzcie na mnie! spać!

Zgromadzeni spełnili rozkaz, jakby rekruci.

— Siedzieć prosto. Oczy otworzyć.

Rozwarli oczy, ale siedzieli nieruchomi, uśpieni. Doktor przez hypnozę wyrobił w nich to posłuszeństwo, że zasypiali za pierwszem słowem rozkazu. Tylko Jacques nie rozwarł oczu, mimo że mu doktor kilkakrotnie rozkazywał.

— Ta bestya ma twardą wolę — szepnął doktor do siebie. Nawet zahypnotyzowany chce mi się opierać.

Teraz zbliżył się kolejno do każdego z uśpionych i mówił im do ucha: „Nie wolno ci słyszeć niczego, dopóki ci nie rozkażę“. Stanął przed Jacquem, położył mu rękę na ramieniu i mówił rozkazująco:

— Pójdziesz natychmiast do prezydenta policyi z zapytaniem, czy niema jakich wiadomości o twojej siostrze. Zapytasz się również, czy odszukano ogrodnika i rybaka. Wyznaczysz nagrodę 50.000 franków za odszukanie siostry. Potem wrócisz do domu, o godzinie 5-tej zachorujesz, położysz się do łóżka i zażądasz, aby mnie do ciebie wezwano. Oprócz mnie, nie przyjmiesz nikogo. Spij teraz i nie wolno ci nic słyszeć, dopóki ci słuchać nie pozwolę. Zrozumiałeś?

— Tak!

Doktor zadzwonił i kazał służącemu przynieść jeszcze dwie flaszki szampana, a gdy służący ze zdziwieniem na Jacqua spoglądał, — rzekł doktor obojętnie:

— Ten pan wypił za wiele szampana. Ot martwi się zniknięciem swojej siostry i z rozpaczy nie wie, co robi. Prześpi się z godzinę, a my tymczasem będziemy jeszcze grali; proszę czuwać, aby nam nikt nie przeszkodził.

Służący wyszedł, doktor zamknął drzwi na klucz, potem przystąpił do kasyera.

— Emile Terra! słyszysz mnie?

— Słyszę! — odpowiedział kasyer we śnie.

— Powiedz mi zupełną prawdę, co sobie o mnie myślisz?

— Jesteś niepospolitym człowiekiem; z twoją pomocą można zyskać wiele pieniędzy.

— Czy mówiłeś o mnie z kimkolwiek?

— Mówiłem.

— Z kim?

— Z Jacquiem, z Karolem Clarą, z Petitem i Matternettem.

— Co z nimi o mnie mówiłeś?

— Że grasz fałszywie.

— Co jeszcze?

— Nic!

— Czy ty także grasz fałszywie?

— Tak.

— Czyś i mnie oszukał?

— Nie!

— Dlaczego nie?

— Bo nie mogłem.

— Namyśl się dobrze i powiedz, co Karol Claro o mnie myśli?

— Myśli, że jesteś niebezpiecznym oszustem.

— Czy boi się mnie?

— Nienawidzi cię i powiada, że się pomści.

— Za co?

— Żeś go namówił do fałszowania ksiąg bankowych.

— Skąd wie o tem?

— Nie wiem.

— Czy już rozpoczął działać przeciw mnie nieprzyjaźnie?

— Nie wiem. On mnie teraz unika.

— Co mówi o milionie?

— Nic o tem nie wspomina.

Doktor Hergenrötter namyślił się chwilę i znowu pytał:

— Co mówi o mnie Petit?

— Mówi, że jesteś bardzo miłym towarzyszem.

— Przypomnij sobie dobrze.

— Powtarza, że poszedłby z tobą na koniec świata.

— A co mówi o mnie Maternet?

— Boi się ciebie i nienawidzi.

— Dlaczego?

— Boś go zniewolił do zamordowania owego wysokiego człowieka, który przybył z Orleanu.

— Dlaczego jeszcze mnie nienawidzi?

— Bo wywierasz nad nim władzę.

— Czy mówi o tem, jaką władzę wywieram?

— Mówi, że ma takie uczucie, iż się z pod twojej władzy wyzwolić nie może.

— Co mówi o mnie Jacques?

— Powtarza często, że jesteś zbrodniarzem, że jego siostrę trzymasz w więzieniu, że innych do zbrodni nakłaniasz.

— Czy powtarza to innym?

— Powtarza wszystkim.

— Czy poza naszem gronem nie opowiada o tem komu?

— Zdaje mi się, że nie.

— A dlaczego ci się tak zdaje?

— Bo go wciąż mam na oku i prawie nigdy go nie odstępuję.

— Czy kocha jeszcze swą przybraną siostrę, tak jak dawniej?

— Mówił mi dziś rano, że ją kocha, ale tylko miłością braterską i nigdyby z nią żenić się nie chciał.

— Dlaczego tak zmienił uczucia?

— Bo zakochał się namiętnie w innej.

— W kim?

— W jakiejś pannie, która wczoraj przyjechała i objęła posadę prywatnego sekretarza pana Blanc'a.

Doktor Hergenrötter przerwał badanie i namyślał się z wielkiem skupieniem umysłu, które widać było na twarzy. Coś mu się nie nadawało, bo wyraz niezadowolenia na twarz mu wystąpił. Zmarszczył czoło, usta wykrzywiły się złośliwie i był w tej chwili taki odrażający, a zarazem tak demonicznie silny, iż mógł posłużyć za model do Mefista. Potem rozpogodził się, jakby myśl jakaś pospieszyła mu z pomocą i znowu badał śpiącego:

— Czy sekretarka jest piękna?

— Cudownie piękna, ma postać Junony.

— Jak się nazywa?

— Zapomniałem.

— Gdzie mieszka?

— W pałacu.

— Czy jest krewną państwa Blanc'ów?

— Zdaje mi się, że jest krewną.

— Słuchaj dobrze tego, co ci teraz powiem. Musisz zapomnieć o wszystkiem, cośmy tu teraz ze sobą mówili. Musisz baczną zwracać uwagę na wszystko, co się o mnie mówi. Musisz mi najdokładniej opowiedzieć o wszystkiem, co o mnie usłyszysz; musisz mi być we wszystkiem posłuszny, musisz natychmiast zasypiać, skoro ci rozkażę.

— Będę.

— Czyś ty mi co winien pieniędzy?

— Nie.

— Jesteś mi winien 50.000 franków. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Na poczet tego długu przyniesiesz mi za trzy dni do mego mieszkania 10.000.

— Przyniosę.

— Teraz będziesz głuchy, aż do chwili, w której słyszeć ci pozwolę.

— Będę.

Doktor ujął w dłonie głowę śpiącego, ścisnął ją, uśmiechnął się szatańsko, potem odszedł na środek pokoju, siadł we fotelu i zaczął rozmyślać:

— To niedobrze. Jeżeli ten błazen przestał się kochać, to suggestya już nie pomoże. Wszystkoby przepadło! Trzeba tymczasem brać, co się da. Claro sprawia mi wiele trudności; nie łatwo poddaje się hypnozie. Trzeba się go pozbyć.

Powstał z fotelu, potarł dłonią czoło, wytężył na nowo energię i postąpił do siedzącego w uśpieniu buchaltera.

— Claro! słuchaj mnie.

— Słucham.

— Będziesz w księgach najdokładniej to zapisywał, co ci Terra podyktuje.

— Będę.

— Za trzy dni każe ci Terra popełnić oszustwo i ty je spełnisz.

— Spełnię.

— Potem udasz się do swego mieszkania i zastrzelisz się. Rozumiałeś?

— Rozumiałem.

— Od tej chwili zapomnisz o tem, że mnie znałeś, nawet, że mnie widziałeś.

— Zapomnę.

Doktor podniósł powieki buchaltera i przekonał się, że śpi istotnie.

— Trzeba to było już dawniej zrobić, mówił sam do siebie, ale może jeszcze nie zapóźno. Teraz Jacques musi dać dwa miliony, a potem odpłynę do Ameryki.

Stanął przed śpiącym Jacquiem i zapytał:

— Jacques, czy kochasz jeszcze przybraną siostrę?

— Nie wiem.

— Namyśl się dokładnie.

— Nigdy jej nie kochałem.

— Czy kochasz inną?

— Kocham.

— Kogo?

— Pannę Mary de la Croix.

— Czy to krewna Blanc'a?

— Nie wiem.

— Chcesz się z nią ożenić?

— Chciałbym, gdyby się na to zgodziła.

— Czy ci pomódz do tego?

— Pomódz.

— Jeżeli Mary de la Croix ma wyjść za ciebie, musisz mi zapłacić dwa miliony.

— Zapłacę.

— Winien mi jesteś pół miliona franków, które w ciągu pół roku do mnie przegrałeś.

— Tak, jestem winien.

— Czy przyznajesz, że to dług honorowy, który należy ściśle i prędko zapłacić?

— Przyznaję.

— Czy wiesz o tem, że masz na sumieniu zamordowanie tego olbrzyma z Orleanu, o którym myślałeś, że to agent policyjny z Londynu?

— Wiem.

— Czy wiesz, że ty jesteś prawdziwym sprawcą tego, że z podpiłowanego balkonu spadł człowiek do wody i utonął?

— Wiem.

— Czy wiesz o tem, że ty jesteś sprawcą ukrycia córki Blanc'a, swojego dobroczyńcy?

— Wiem.

— Będziesz zawsze spał, gdy ci każę?

— Będę.

— Wszystko, co ci kazałem, uczynisz z własnej woli i o mnie wtedy nie będziesz myślał?

— Dobrze.

Odstąpił od Blanc'a, przeszedł się po pokoju, potem kolejno każdemu z uśpionych potarł ręką twarz i czoło, usiadł za stolikiem, wziął karty w rękę i zawołał rozkazująco:

— Zbudzić się! Grać!

Wszyscy otwarli oczy, ujęli karty w ręce, jakgdyby gry nie przerywali.

— Możebyśmy już przestali — rzekł Hergenrötter od niechcenia. Wy musicie iść do biura, a jabym chciał zajrzeć do naszej pupilki.

Wszyscy zgodzili się na to chętnie, bo byli bardzo zmęczeni.

— Co ty teraz myślisz robić Jacques?—spytał doktor obojętnie.

— Pójdę do prezydenta policyi.

— Po co?

— Sam nie wiem dlaczego. Coś mnie do niego ciągnie.

— Ale się pospiesz.

— Pospieszę się tembardziej, że jakiś jestem niezdrów.

— Kto to jest? — zapytał buchalter Claro, wskazując na doktora.

— Ha, ha, ha, — zaśmiali się towarzysze. Cóż ci się tak zebrało na dowcipy?

— Dajcie mu spokój, niech sobie dowcipkuje. Bądźcie zdrowi — rzekł doktór, pochwycił kapelusz i spieszył ku drzwiom. Kasyer pobiegł za nim i szepnął mu do ucha:

— Bądź spokojny o te 50.000 franków, ja ci je święcie zapłacę, chociaż dalibóg nie wiem, skąd wziąć.

— Nie martw się, jeszcze czas na to — odpowiedział doktor i wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ujęcie króla włamywaczy.

(Do illustracyi tytułowej.)

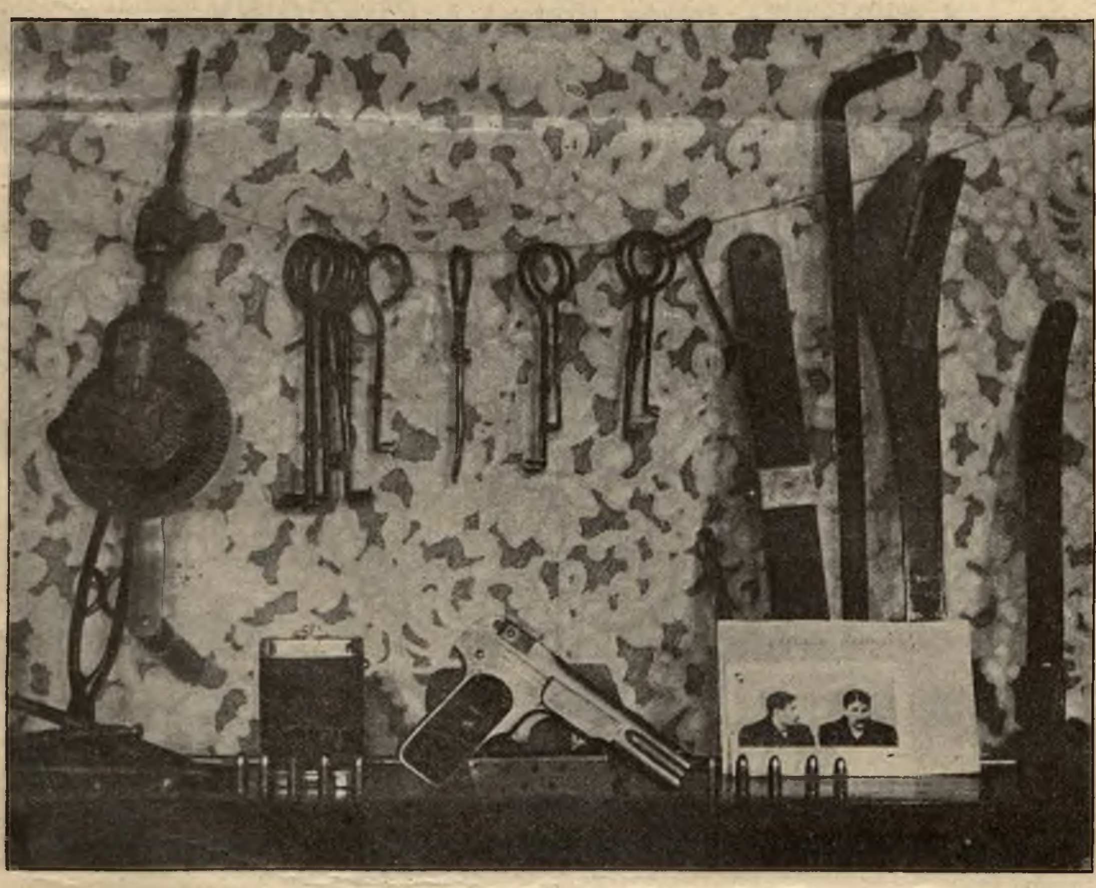
W poprzednim numerze zanotowaliśmy sensacyjną wiadomość o ujęciu we Lwowie króla włamywaczy Edmunda Wasińskiego, zabójcy dozorcy Kautsky'ego w Pradze, oraz podaliśmy podobiznę tego niezwykłego zbrodniarza. Śledztwo w sprawie tej prowadzone przez policyę lwowską wykazało, że Lwów był siedzibą całej bandy niezwykle śmiałych i sprytnych włamywaczów i że na czele tej bandy stał właśnie Wasiński.

O przeszłości jego nie wiele wiadomo. Zeznał Wasiński tyle tylko, że przed trzema laty osiadł w Galicyi, że w Stryju otworzył sobie pracownię piekarską, a następnie przeniósł się do Lwowa. Z policyą wszedł po raz pierwszy w bliższy kontakt w Stanisławowie, gdzie go wraz z dwoma innymi włamywaczami ujęto w czasie usiłowanego włamania do jednej z instytucyj finansowych. Przewieziony do Lwowa zdołał w towarzystwie Szyptura i Schwarzera umknąć z więzienia śledczego i dzięki swemu sprytowi ukrywać się przez szereg miesięcy przed okiem władz. Dopuściwszy się następnie szeregu kradzieży w kilku miejscowościach galicyjskich, wyjechał do Pragi, aby tam wspólnie z notowanymi rzezimieszkami Adamskim, Knoblochem i Hüttnerem, zwanym w sferach złodziejskich „Anglikiem“, dokonać kradzieży w jednym z banków. Jak wiadomo, został Adamski aresztowany w Pradze, Wasiński zaś zbiegł do Lwowa i tam dopiero dostał się w ręce policyi. Razem z nim zostali aresztowani brązownik Stanisław Uścieński wraz z żoną, w których mieszkaniu Wasiński przebywał, dalej wspólnik bandy Knobloch, oraz pośrednik w dostarczaniu „robotników“, złotnik Tiller. Hüttner przebywa dotąd na wolności.

Ujęcie króla włamywaczy:



Stanisław Uścieński. Stanisław Adamski. Wilhelm Hüttner false »Złot«, vel »Anglik«.



Ujęcie króla włamywaczy: »Muzeum« narzędzi złodziejskich bandy Wasińskiego.

Wykrycie bandy włamywaczy stało się wypadkiem dnia we Lwowie i przedmiotem nietylko rozmów ale i obszernych sprawozdań dziennikarskich. Najwięcej ściągnął na siebie uwagi herszt Wasiński, jego determinacya bowiem, nadzwyczajny spryt, a przytem pewna nonszalancya, z jaką wyrażał się o swej przeszłości i oczekującym go losie, znamionowały niepospolitego zbrodniarza. Dzięki tym „zaletom“ stworzył on prawdziwą szkołę i system włamywania; na usługi swe miał prócz dobranych „współpracowników“, także najlepsze, najdoskonalsze narzędzia, między temi specyalny świder, poruszany siłą elektryczności.

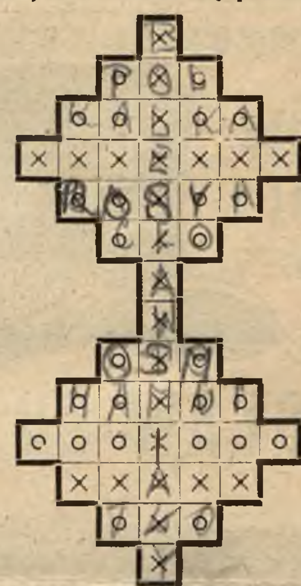
„Muzeum“ narzędzi bandy Wasińskiego w reprodukcyi fotograficznej, wraz z podobiznami jego wspólników: Adamskiego, Uścieńskiego i Hüttnera zamieszczamy w dzisiejszym numerze, którego rycina tytułowa przedstawia chwilę ujęcia Wasińskiego w mieszkaniu Uścieńskich.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

(Ułożyła p. H. Leligdowicz z Fragi).

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków w pionowym i poziomym kierunku dały 3 tytuły dramatów St. Wyspiańskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Autor »Pieśni o ziemi naszej«. 3. Papier do odbijania. 4. ? 5. Państwo w Europie. 6. Opłata od towarów zrgranicznych. 7. Samogłoska. 8. Spółgłoska. 9. Liczba parzyta. 10. Zwierzę przedpotopowe. 11. Miasto w półn. Ameryce. 12. ? 13. Główna część malowidła. 14. Samogłoska.

Zagadka zgłoskowa.

(Ułożył E. Konstankiewicz z Gorlic).

Ze zgłosek: al, be, be, bla, ed, je, land, le, lec, lisk, łup, niow, o, pe, py, rat, ru, run, ski, sta, sza, ta, ulm, wa, win — ułożyć 12 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko (pseudonim) współczesnego powieściopisarza, zaś końcowe litery, czytane z dołu do góry, utworzą tytuł jednej z jego powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Tytuł poematu Słowackiego. 2. Pomnik egipski. 3. Tytuł urzędnika politycznego w Prusiech. 4. Imię męskie. 5. Broń biała. 6. Inaczej zdobycz. 7. Góry w Europie. 8. Bryła geometryczna. 9. Bożek słowiański. 10. Przyrząd do gry. 11. Twierdza w Wirtembergii nad Dunajem. 12. Miara używana dawniej w Polsce.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza Redakcya **»Finis Polonia«** Sclavusa.

Głosy publiczne